

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 8 LISTOPADA 1930 ROKU

NR. 45

TREŚĆ NUMERU: Dwa lata dziejów naszych—*Wł. L.* Polityczne i społeczne postulaty kobiet — *Herminja Naglerowa*. Obrona przeciwgazowa—*Natalja Jastrzębska*. Sen o wojnie — *Marja Kunciewiczowa*. Poezja: „Dziecko” — *H. Januszewska*. W stolicy — *Jadwiga Kiełnarska*. Odwiedziny Asyżu — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Z ostatnich wystaw—*S. P. O.* Z teatrów—*S. P. O.* Jak to było dziesięć lat temu. Kobieta w świecie i w domu. Sztuka rozmawiania (dok.)—*Jadwiga Kiełnarska*. Organizacja gospodarcza wiedeńki — *Marja Ankiewiczowa*. Reorganizujemy nasze ogniska domowe — *mar.-mor.* Jak zwalczać pasożyty drobiu—*Z. P.* Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Różnorodność modnych sylwetek i stylów—*Well*. Dodatek powieściowy: „Ucieczka”—*Pola Gojaniczyńska*. Arkusz wzorów.

Z powodu przeniesienia obchodu dziesięciolecia rozejmu po zwycięskiej wojnie z bolszewikami na dzień 11 listopada, artykuł wstępny i część beletrystyczną numeru niniejszego poświęcamy upamiętnieniu tej ważnej i radosnej chwili dziejowej.

DWA LATA DZIEJÓW NASZYCH

1919 — 1920

Gdy, po klęsce państw zaborczych, dzięki pracy konspiracyjnej organizacyj niepodległościowych, tlejące w całym kraju ogniki buchnęły jednym wielkim płomieniem wolności — okazało się odrazu, że sprawa naszego bytu państwowego nie jest jeszcze wygrana, lecz dopiero rozpoczęta.

Krwawe luny, wykwitające nocą nad Lwowem, trzask karabinów od wschodu, ataki czechów na Śląsk Cieszyński i ponura cisza przed burzą w Wielkopolsce — wszystko to wskazywało, że „polska szabla, której nie zabrakło, gdy na szalę miecze zostały rzucone” — złożyć musi niejeden jeszcze egzamin swojej sprawności.

W kraju panował bezład, tarcia socjalne i nędza. Tak przedstawiała się sytuacja, kiedy po powrocie z Magdeburga do Polski, obejmował w Niej naczelną władzę — Józef Piłsudski.

Dwanaście lat temu, w dniu 11 listopada 1918 r., posiadaliśmy mniej więcej dwadzieścia kilka bataljonów piechoty, kilka baterii i parę szwadronów jazdy. Jest to około półtożej dywizji. Z tem zaczęliśmy wojnę na wszystkich frontach.

W ogniu walki rozpoczyna się praca organizacyjna. Samorządnie tworzą się oddziały ochotnicze, Sejm uchwała pobór kilku roczników.

Naczelny Wódz i Naczelnik Państwa, decydujący o naszych wojskowych posunięciach, odrazu widzi jasno, skąd zagraża Polsce największe niebezpieczeństwo.

Wie, że idzie ono od Rosji sowieckiej, od tej Rosji, która przez pięć wieków szła do nas i na nas stale z jakimiś hasłami pseudo-wyzwoleńczymi, a zaborczość swą maskowała pretekstem bronięcia zawsze jakichś „uciśnionych”.

Tym razem frazes o oswobodzeniu proletariatu miał porwać zdezorjentowane wojną światową i przewrotami socjalnymi masy polskiego ludu. Co więcej, plany dyktatorów rewolucji rosyjskiej sięgały dalej. Pokonana Polska miała się stać pomostem dla przeszczeplenia ich idei na całą Europę.

Doceniając to niebezpieczeństwo, a pragnąc równocześnie odsunąć wojnę „możliwie daleko od miejsc, gdzie się nowe życie wykluwało i wykuwało, oraz obalić wszelkie próby i zakusy narzucenia nam raz

jeszcze życia obcego, życia, nieurządzonego przez nas samych" — Józef Piłsudski przeprowadza już w połowie kwietnia 1919 r. akcję na Lidę i Wilno. W pierwszy dzień Wielkiej Nocy prastary gród Giedymina wita entuzjastycznie polskich kawalerzystów.

Po zlikwidowaniu walk z Czechami, ustaleniu granicy z Niemcami, osiągnięciu linii Zbrucza w Małopolsce i posunięciu całego frontu przeciwrosyjskiego znacznie na wschód — następuje okres przygotowania do oczekującej nas, nieuniknionej, a rozstrzygającej kampanji z Sowietami.

Pod koniec roku 1919 armja polska liczy już przeszło pół miliona żołnierzy na froncie i w kraju. Posiadamy 21 dywizyj piechoty i 7 brygad kawalerji, wyposażonych artylerją.

Sowiety, zlikwidowawszy pokolei kontrrewolucyjne armje Judenicza, Millera, Kołczaka i Denikina, udają wobec Polski zamiary pokojowe, jednocześnie z pośpiechem przerzucając wojska na słaby dotąd front przeciwpolski.

Upredzając spodziewane natarcie, Naczelny Wódz Polski uderza na południu. Dnia 7 maja 1920 r. wojska nasze wkraczają do Kijowa. Tymczasem 14 maja rozpoczynają rosjanie swoją pierwszą ofensywę. Gdy ta zostaje zlikwidowana, po pewnej przerwie uderzają poraz drugi, zgromadziwszy na północnem skrzydle potrojną przewagę sił. Niemal jednocześnie konna armja Budiennego przerywa nasz front na południu i przedostaje się na nasze tyły.

Armja polska zmuszona zostaje do odwrotu, który ją doprowadza do wrót Warszawy.

Wobec widma klęski, Naród cały zrywa się do wspaniałego wysiłku. Tysiące ochotników zgłaszają się pod broń, partje polityczne zgodnie tworzą Radę Obrony Państwa, a gdy przed nią staje Naczelny Wódz, Rada Obrony Państwa jednogłośnie wyraża mu swoje zaufanie.

Następuje wykonanie planu Marszałka Piłsudskiego z 6 sierpnia, obrona Warszawy w dniach 13, 14 i 15 sierpnia i słynne uderzenie z nad Wieprza w dniu 16 sierpnia o świcie. Wojska sowieckie ponoszą pierwszą wielką klęskę, z której się już nie podźwigną. Inicjatywa działań — ten czynnik na wojnie najważniejszy — przechodzi od dowódców sowieckich w dniu 17 sierpnia w ręce polskiego Naczelnego Wodza.

W drugiej połowie września resztki armji sowieckiej, które nie zdołały się zorganizować za barierą Niemna, ponoszą ostateczną klęskę w bitwie pod Krwawym Borem i Lidą.

9 października generał Żeligowski zdobywa dla Polski Wilno.

14 października zwyciężona Rosja sowiecka godzi się na podpisanie najważniejszych warunków pokojowych.

Znaczenie zwycięstwa nad państwem rosyjskiem w roku 1920 było w skutkach decydujące o mocarstwowej przyszłości Polski. Dopiero po niem Europa, traktująca nas dotąd z lekceważeniem raczej i niedowierzaniem, poczęła z należnym szacunkiem odnosić się do Narodu, który w chwili krytycznej dla swej młodej państwowości ujawnił taki zasób energii, siły i poświęcenia. Zrozumiano, że potrafimy bronić się sami. Jeżeli przedtem mógł taki, czy inny, wrogo dla nas nastrojony dyplomata Zachodu twierdzić, że niepodległość otrzymaliśmy w darze, to wypadki r. 1920 zadały kłam tym twierdzeniom.

Jednakże nie na tem polega wielkość tego zwycięstwa. Wydając swój słynny rozkaz do wojsk, w przededniu decydującego uderzenia, pisał tam otwarcie wódz Sowietów, Tuchaczewski:

„Przez trupa Polski prowadzi droga do wszechświatowego pożaru!

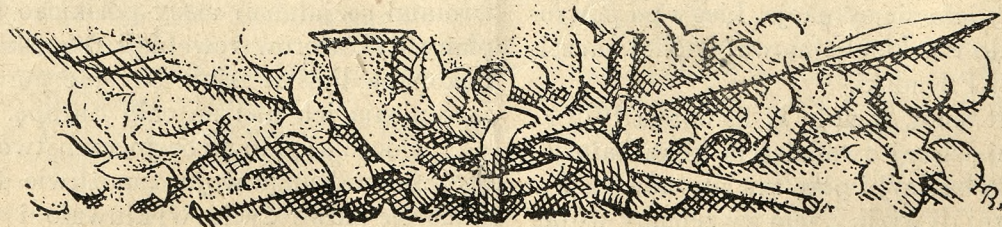
Na Wilno, Mińsk, Warszawę — marsz!“.

Otóż Europa zdawała sobie i zdaje dokładnie sprawę, co oznaczałby ten pożar, rozszerzony na całe jej terytorjum. Niósł on znękanym wojną światową społeczeństwom zagładę kultury i cywilizacji, krew i łzy, ruinę i zgubę.

Klęska Sowietów w r. 1920 okryła imię Naczelnego Wodza polskiego chwałą nieśmiertelną, postawiła Polskę w rzędzie mocarstw Europy. Nemezis dziejowa sprawiła, że od wieków zasłużona odprawa, dana sąsiadowi od wschodu — pasowała nas na tej Europy obrońców.

Oto synteza „dwóch lat dziejów naszych“, tych lat, o których z dumą i żarliwym kultem mówić będą przyszłe polskie pokolenia.

Wł. L.



HERMINJA NAGLEROWA

POLITYCZNE I SPOŁECZNE POSTULATY Kobiet

W artykule „Kobiety w akcji wyborczej” p. Natalia Jastrzębska słusznie i bardzo na czasie podniosła sprawę t. zw. apolityczności kobiet. W istocie bowiem kobiety wejść dziś już muszą swojemi zainteresowaniami do wszystkich dziedzin życia. Na wielu placówkach, zwłaszcza społecznych, pracują już od dawna, pracują nawet samodzielnie — to znaczy, występują z własną inicjatywą, z własnym programem i planem działania, zaczęły idzie ich, bodajże, wyłączna w pewnym zakresie działalność społeczna.

W sprawach jednak polityki wewnętrznej, poszukującej niejako swojego łożyska w nowych formach wskrzeszonego państwa, kobiety nie zdołały jeszcze całkowicie wyodrębnić się zarówno ideą, jak i akcją. Ich samodzielność polityczna ograniczała się dotąd do opowiedzenia się za tą lub ową partją, za tym lub innym odłamem politycznym, bez względu na to, czy gotowe programy tych partji i odłamów okrywają się z uświadomionemi lub podświadome mi przekonaniem i wyczuciami kobiet.

Niewątpliwie jednak odbywa się już proces dojrzenia myśli politycznej kobiet. Jest to zaś tembardziej konieczne, że właśnie programy społeczne kobiet zahaczają o strukturę polityczną naszego państwa. To znaczy, że niejednokrotnie realizowanie postulatów społecznych zależne jest od wewnętrzno-politycznej sprawności państwa, od zgodnej akcji wszystkich czynników, tworzących organizację państwa konstytucyjnego. Zwłaszcza od zgodnej akcji dwóch czynników: władzy ustawodawczej i władzy wykonawczej.

Ileż to bowiem ważnych projektów z dziedziny gospodarczej, ochrony pracy i opieki społecznej, zdrowia i moralności publicznej — nie mogło wejść w życie z powodu anarchji w sejmie? Coś, co zdawało się najprostsze i najkonieczniejsze, coś, co było wskazaniem uczuć humanitarnych — stawało się kością niezgody między partjami, albo musiało ustąpić miejsca jakimś osobistym względom partyjnym.

Bezląd sejmowy, utrudniający pracę władz wykonawczych, jest wynikiem wadliwej konstytucji, napisanej zapewne w najlepszych intencjach, lecz niedostosowanej do naszych warunków bytu. Powszechny jest głos w Polsce, że konstytucja musi ulec rewizji, że władza Prezydenta musi być wzmocniona, a kompetencje ciał ustawodawczych i wykonawczych trzeba rozgraniczyć. Równowaga tych ważnych czynników w państwie — to warunek siły państwa, które musi się skrzepić wewnętrznie, żeby móc się ostać wobec niebezpieczeństw, zbyt już jawnie grożących z zewnątrz.

Kobiety polskie, choć stoją na uboczu, choć prawie nie zajmują się polityką wewnętrzną, a jeszcze mniej mają dostępu do spraw polityki zewnętrznej, intuicyjnie wyczuwają potrzebę takiej przemiany, któraby niosła ład i uzdrowiła państwo. W ramach takich postulatów politycznych mieści się zresztą szero-

ki zasięg społeczny kobiet. Wśród niepokojów nie można przecież pracować, nie można rozwijać tej akcji, która, oparta na doświadczeniu, nabytem latami realnej pracy, skonkretyzowała się już w postulatach.

Program gospodarczy i społeczny kobiet nie jest bowiem mgławicą. Nie jest to też nic dorywczego, sformułowanego ad hoc. Kobiety, pracując we wszystkich niemal warsztatach narówni z mężczyzną, utrzymując dom, zarządzając przedsiębiorstwami, nie są już dziś laikami w dziedzinie zagadnień gospodarczych. Może wyznaczyły sobie tylko pewne tereny, pewne wycinki w całokształcie zagadnień, ale te właśnie wycinki znają doskonale. Obchodzi je sprawa bezrobocia i sprawa ożywienia wytwórczości, obchodzi reforma systemu podatkowego w kierunku stopniowego zniesienia podatku obrotowego. Same są przecież podatniczkami narówni, bodajże, z mężczyzną. Jeżeli kobiety wśród swoich postulatów gospodarczych wymieniają konieczność rozwoju ruchu spółdzielczego, to zabierają głos, jako fachowe działaczki w tym zakresie. Jeżeli żądają ożywienia ruchu budowlanego, to obchodzi je ta sprawa aż nazbyt żywo, jako, choćby, „panie domu”, któreby chciały mieć ten dom.

Widzimy więc, że sprawy gospodarcze nie są dla kobiet — tabula rasa. Wiedzą, co wynieść na wierzch, w jaki bolący punkt uderzyć.

W dziedzinie społecznej są, oczywiście, najbardziej miarodajne. A tak jest, że w tej dziedzinie kobieta musi wyliczyć swoje krzywdy, musi znowu i raz jeszcze przypomnieć przesady i niesprawiedliwość. Na czoło wysuwa się sprawa równej płacy za równą pracę. Dzieją się bowiem ciągle jeszcze nadużycia, ciągle jeszcze trwa wyzysk kobiety, która dotąd nie potrafiła obronić się przed obniżaniem jej wartości zarobkowej. Trzeba by także pomyśleć o warunkach pracy robotnic i o tem, że zawsze jeszcze jest za mało inspektorek pracy, zawsze jeszcze szwankuje ustawa o ochronie macierzyństwa i pracy młodocianych.

Żywy dziś ruch kobiet na polu zdrowia i moralności publicznej postawić musiał również swoje postulaty. Kobiety przede wszystkim domagają się kontroli nad wykonywaniem istniejących już ustaw o zwalczaniu alkoholizmu, o zwalczaniu nierządu i handlu żywym towarem.

Nie wszystko, co tu wymieniliśmy, należy do spraw wyłącznie kobiecych. Jest to jednak dowód, że kobiety nie zacieśniają swoich zainteresowań, że nie tworzą klaniku kobiecego. Obchodzi je wszystko: państwo i jego dobrobyt, obchodzi całe społeczeństwo, mieszczące się w ramach naszego państwa. W ten sposób rozumieją politykę, jako działalność państwowotwórczą.

Zaznaczyć należy, że idea tak pojętej polityki kobiecej nie jest jedynie teoretycznym podłożem do niniejszego artykułu. Obecny, żywy wśród kobiet ruch przedwyborczy zrealizował już program takiej polityki w Komitecie Wyborczym Organizacji Kobięcych.

Wspomniała o tym Komitecie p. Natalja Jastrzębska. Dodam tu jeszcze, że zwyż 100.000 zorganizowanych kobiet weszło przez swoje delegatki w skład Komitetu Wyborczego, który posługuje się wyraźnie sformułowanym programem polityczno-społecznym i z tym programem idzie do wyborów. Komitet Wyborczy Organizacji Kobiety nie występuje wprawdzie z własną listą wyborczą, z listą kobiecą, ale bardzo wyraźnie stawia swoje żądania. Kandydatki Kom. Wyb. Org. Kob. znajdują się na liście Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Nazwisk kobiet na tych listach jest około 50.

Zrozumiałe jest, że kobiety, które, jako hasło polityczne, stawiają: mocne państwo, mocny rząd, bezpieczeństwo państwa nazewnątr — zgrupowały się przy Marszałku Józefie Piłsudskim, łącząc z Jego zwycięstwem realizację swojego programu polityczno-

społecznego. Ze zwycięstwem BBWR łączy się też wejście do Izby ustawodawczej większej ilości kobiet.

Dodać tu jeszcze należy, że poraz pierwszy u nas zanotować możemy zablokowanie się kilkunastu organizacji kobiecych, za czym poszło uzgodnienie programu kobiecego zarówno politycznego, jak i społecznego. Jest to zjawisko bardzo znamienne dla całokształtu ruchu kobiecego, a świadczące o zdrowych tendencjach organizacyjno-państwowych wśród kobiet. Zasada państwo-twórcza, ożywiająca tak ogromną liczbę kobiet, idących za Marszałkiem Piłsudskim — to dowód politycznej dojrzałości kobiet. Kobiety, wszedłszy wreszcie na drogę rozważań ustrojowych, niewątpliwie przyczynić się muszą do podtrzymania idei ładu wewnętrznego. Polityka — to dziedzina nowa dla kobiet, ale napewno i w tej dziedzinie okażą się siłą wartościową, siłą konstruktywną.



OBRONA PRZECIWGAZOWA

W ostatnich czasach mówi się powszechnie o obronie przeciwgazowej, o szkoleniu w niej ludności cywilnej; Komitet Stołeczny Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej buduje nawet szkołę tejże obrony, dla *ludności cywilnej*. Pod protektorem Pani Prezydentowej Mościckiej zawiązał się Komitet pań, mający przyjąć z pomocą tej akcji.

Dla wyjaśnienia tej ważnej sprawy, udałam się do jednego z najwybitniejszych fachowców w tej dziedzinie, p. inżyniera Kalusińskiego, który jest twórcą teorii o wielkiej roli kobiet w obronie przeciwgazowej i inicjatorem szkolenia ich w tym zakresie.

Zapytuję więc, dlaczego sfery miarodajne kładą dziś, w czasie pokoju, taki nacisk na przygotowanie do obrony przeciwgazowej ludności cywilnej, a zwłaszcza kobiet.

— Proszę pani, przecież to bardzo proste. Dlaczego w czasie pokoju? Bo obrony przeciwgazowej nie można *zaimprovizować*, wprowadzić w życie po krótkich przygotowaniach, jak się to robiło z opieką nad rannymi, uchodźcami, aprowizacją i t. p. To jest: po pierwsze, obszerna wiedza ścisła, której trzeba się gruntownie nauczyć i mieć do niej wiele przyrządów pomocniczych we wszystkich dziedzinach; po drugie, trzeba wprowadzać ją w życie na długi czas naprzód. Czy pani wie, co to jest schron przeciwgazowy?

— Mniej więcej.

— A wie pani, ile kosztuje budowa schronu na sto osób?

— Pewno dużo?

— Około miliona dwustu tysięcy złotych. A wie pani, coto jest kąpielisko przeciwparytowe?

— Ratowanie zaiperytowanych?

— Tak; człowiek, obłany iperytem, zostanie uratowany, jeśli będzie mógł wziąć momentalnie specjalną kąpiel.

— Więc trzeba budować i kąpieliska?

— Nie, proszę pani; zamiast stawiać osobne schrony i kąpieliska, które pochłoną moc pieniędzy, będą zabierały miejsce, stały pustką i straszyły ludzi, trzeba budować nowe domy tak uszczelnione i przygotowane, aby w potrzebie mogły być schronami, a wszystkie łaźnie, baseny, pływalnie miejskie, czy kąpieliska przeciwparytowe. Miasta w przyszłości muszą być odrazu tak budowane. Czyż tego wszystkiego nie trzeba przygotowywać przez całe lata!

— Więc, na wypadek wojny, ludność cywilna będzie poważnie zagrożona i wciągnięta właściwie do walki?

— Do walki — nie; do obrony — bezwzględnie. Ataki gazowe byłyby kierowane nietylko przeciw armji na froncie, ale przeciw miastom, ośrodkom przemysłowym, węzłowym stacjom kolejowym i t. p. Wobec tego muszą istnieć i dwie akcje: walka armji na froncie i obrona ludności cywilnej wewnątrz kraju.

— Ale dlaczego kobiety?

— A kto? Czy żołnierze, zamiast na linii bojowej, mają siedzieć w miastach, albo przybiegać za każdym razem na ratunek? Naturalnie, że nie *wyłącznie* kobiety działać będą w obronie ludności cywilnej; ale jednak, wobec odejścia wszystkich, zdolnych do walki mężczyzn na front, kobiety będą musiały zastąpić ich wewnątrz kraju we wszystkich pracach, tembardziej w tej, stanowiącej o życiu całego

rodzin. Przedewszystkiem każda kobieta będzie w swoim domu komendantem fortecy. Musi wiedzieć, jak tego domu bronić. Jak, na wypadek ataku gazowego, zamknąć i uszczelnić okna; jak założyć sobie i dzieciom maski, jak te maski przechowywać, jak ochronić niemowlęta, którym przecież maski włożyć nie można, i setki takich rzeczy.

— To istotnie cała wiedza.

— Właśnie. Zadaniem zawiązanego świeżo pod protektorem pani Prezydentowej Komitetu pań będzie podjęcie, w ścisłej łączności z L. O. P. P. jaknajszerszej propagandy akcji obrony przeciwgazowej i zaznajomienie społeczeństwa z jej istotą. Potem przystąpić należy do szkolenia w samej obronie.

— Nawet w czasie pokoju?

— A cóż to szkodzi! Można to doskonale robić, nie naruszając zupełnie biegu spraw życia codziennego, na terenie szkół, stowarzyszeń, organizacyj. Komitet Stołeczny L. O. P. P. prowadzi np. od dwóch lat Kursy obrony przeciwgazowej i przeciwlotniczej dla uczennic 6 i 7 oddziałów szkół powszechnych; przesłuchało tych kursów 7 tysięcy dziewcząt; wyszkoliliśmy tak samo około dwudziestu szkół średnich. W zeszłym roku podobne kursy przeszły członkinie organizacji kobiecych, klubu wioślarek i słuchaczki seminarjów nauczycielskich, wreszcie studentki przyrody i chemii uniwersytetu warszawskiego. Zaznaczyć tu chciałbym niezmiernie życzliwe w stosunku do naszej akcji stanowisko Kuratorium warszawskiego okręgu i Inspektoratu szkół powszechnych.

— A młodzież?

— Młodzież traktowała to, jak młodzież... entuzjastycznie; pisali o kursach nawet w swoich pismach uczniowskich!

— A czy, prócz takich kursów, istnieją jeszcze inne formy wyszkolenia i przygotowania?

— Naturalnie: szkolenie drużyn sanitarnych, kształcenie specjalistów przysposabiania mieszkań i budynków do obrony przeciwgazowej, a przedewszystkiem popieranie rozbudowy polskiego przemysłu chemicznego.

— A w jakich działach obrony przeciwgazowej kobiety mogłyby być najużyteczniejsze?

— Jeżeli chodzi o samą obronę, już w czasie wojny, to, poza ochroną domu, siebie i rodziny (co każda kobieta wtedy umieć powinna), mogą jeszcze specjalizować się w najrozmaitszych kierunkach: jako komendantki drużyn ratowniczych, instruktorki techniczne, pouczające o obchodzeniu się ze sprzętem gazowym, ochronie mieszkań i zapasów żywności, jako dezynfektorki. Dalej pełnić mogą obowiązki w obronie przeciwlotniczej, a więc podsłuch lotniczy i obserwację, służbę łączności, telefoniczną i telegraficzną, służbę alarmową. W tym zakresie winny być szkolone telefonistki i telegrafistki oraz urzędniczki pocztowe. Wreszcie ważne wtedy niezmiernie będzie to, co na-

zwałbym obroną społeczną: opanowanie mas, budzenie poczucia społecznej karności, podporządkowania się bezwzględne rozporządzeniom odnośnych władz, ulegania fachowym dyrektywom; w tem wszystkim ważną rolę odegrać muszą kobiety. Przygotowanie zaś na długi dystans kraju do obrony przeciwgazowej daje także kobietom szerokie pole działalności wszędzie: w szkołach, w stowarzyszeniach, organizacjach, na terenie samorządów.

— Na zebraniu organizacyjnym Komitetu Pań słyszałam o dużych sumach, potrzebnych na dokończenie budowanej przez Komitet stołeczny L. O. P. P. szkoły obrony przeciwgazowej dla ludności cywilnej; ale przecież wybudować tę szkołę, to jeszcze nie wszystko, trzeba teżłożyć na jej utrzymanie?

— Narazie, niech panie dopomogą tylko do jej wykończenia. Potem już damy radę, chcemy bowiem byt szkoły oprzeć właśnie na zasadach samowystarczalności.

— A to jakim sposobem?

— Przecież gazy są nietylko na wojnie; czy brak ich w kopalniach, przy pracach kanalizacyjnych? Wszyscy pracujący tam używają masek; a w różnych fabrykach, gdzie panują wyziewy, kurz i pył gryzący, w przędzalniach, farbiarniach, w garbarstwie, w wytwórniach przetworów chemicznych, tytoniu? Będziemy produkowali maski i półmaski dla przemysłu. A z drugiej strony, można fabrykować i gazy, nietylko przeciwko ludziom (nie daj Boże, aby do tego przyszło!); można tępić gazami szczury, pasożyty, różnych szkodników w miastach i na polach.

To są zadania techniczne, które pozwolą szkole utrzymać się i opłacić koszt doświadczeń i produkcji. Warszawska szkoła obrony przeciwgazowej będzie najpierwszą tego rodzaju instytucją w Europie, bodaj w świecie, ale *właśnie my* mieć ją musimy. Inne państwa wyszkoliły się w czasie wojny, mają dziś gotowych specjalistów i aparat obrony — my tego nie posiadamy.

— Wobec tego trzeba energicznie zabrać się do pracy i pomagać Komitetowi pań w jego zadaniu?

— Jaknajszybciej, jaknajenergiczniej i jaknajszerszej. Gdyby nawet nigdy nie miało być wojny, to rozwój obrony przeciwgazowej wpłynie na rozwój przemysłu, stworzy liczne placówki dla różnorodnych zawodów; kobiety znajdą tam dla siebie dużo miejsca, a znamy wszyscy ich zapał i energję: przeprowadzą zawsze to, do czego dążą. Pole do pracy w tym kierunku otwiera się i przed posłankami, których teraz, przypuszczam, większa, niż poprzednio, ilość wejdzie do Sejmu. We Francji istnieje grupa senatorów, mająca, jako specjalne zadanie, popieranie obrony przeciwgazowej. I w naszym parlamencie powstać to powinno, bo dotychczas niestety, żąda się pieniędzy na wszystkie cele, prócz tego właśnie. Miejmy nadzieję, że nowe posłanki wezmą do serca tę sprawę.

Natalja Jastrzębska.



MARJA KUNCEWICZOWA

SEN O WOJNIE

Żadne miasto, ulubione z książek, nie jest „takie“, kiedy się je wreszcie zobaczy. Żadna miłość nie jest podobna do obietnicy oczu, które zaczynają kochać. Prawie nie się nie iści. Jak smutno, że jedynym moim ziszczonym snem jest sen o wojnie!

Głupio o niej myślałam, będąc dzieckiem: myślałam pięknie. Tak właśnie — głupio i pięknie — ziszcila mi się w młodzieńczych latach.

Nie wiem nic o wojnie europejskiej. Zaszyta w głębokim hinterlandzie — nie! w głębokim somnambulizmie podlotka — nie zdołałam zauważyć rzeczywistości, której potworny kształt przytłaczał dnie i noce widzących. W gazetach, gdzie grzmiały komunikaty z etapów Chemin des Dames, wylawiałam szeptań wstydliwie recenzje teatralne. Gryząc kartkowy chleb, rozpamiętywałam egzotyczne rozkosze Pawła i Wirginji. Jedynym legjonistą, jakiego wówczas widziałam, był kuzynek Bolcio. Miał mętną wymowę, portki z pokrzywy, wpadł na dwa dni, spał, cholerował, odjechał cichaczem z trzema funtami psiej kielbasy w plecaku. Nawet nie wyszłam na balkon.

Ale w 1920-ym roku byłam już pełnoletnia. Na obiad smażyłam sobie studencką jajecznicę, do której pragnęłam mieć trochę masła. Kuzyn Bolcio poległ pod Rarańczą. Umiałam już odróżniać ludzi nie tylko po kolorze ubrań, czy włosów, nie tylko podług gatunku wyrazów, jakie im służą, ale i po ich sposobie cierpienia. Jednak, kiedy Kijów został stracony i ciotki — w obawie przed bolszewikami — zaczęły wynosić samowary na strych oraz przekupywać służące, uroiłam sobie narzeczonego na froncie. W całej pełni materialistycznego światopoglądu, wśród dziesiątka or-

dynarnych zajęć nagle stała się ta poetyczna niedorzeczność.

Nie otrzymywałam listów z poczty polowej; żaden zawszony, promienny wachmistrz nie wpadał do nas z wiadomościami o panu poruczniku. Przeglądając listy strat, nie wiedziałam, jakiego szukać nazwiska... Bo to była nieprawda. A przecież modliłam się, zawzięta syndykalistka, za mego narzeczonego na froncie.

Pamiętam wieczór 20-go lipca. Poroztwierane okna, podwórko pełne ciężkich portamentów między nutami, schrypniętymi z kuchennej afektacji, tępe ciosy armat w czyjeś dalekie zdrowie, naprzeciwko mierzchnące pelargonje, rude przeloty reflektorów po dachu. Wtedy pierwszy raz modliłam się za tę bajkę.

Ale w piętnaście dni później — rzadkie, przesłiczne zdarzenie! — w piętnaście dni później, klęcząc, mówiłam już:

— Andrzej! Mój narzeczonej Andrzej! Mój czarny, piękny narzeczonej! Mój prawdziwy Andrzej, niech wróci zdrowy, Boże!!

Otrzymałam list pocztą polową. Wachmistrz doręczył mi od porucznika pęczek zeschłych azalii z wołyńskiego lasu. Błada, szukałam w spisach litery R.

Nie znalazłam. Andrzej wrócił zdrowy. Zdjął mundur i poszedł do biura. Ja odgrzebałam skrypta.

Pamiętam wieczór 26-go października: kilka przerdzewiałych liści kasztanowych pod balkonem; zakurzona gwiazda. Milczenie. Wszystkie nerwy dwójga ciał wyprężone w pragnieniu: słowo! jedno słowo błogosławionego pokoju!!

Nie znaliśmy tego słowa dla siebie...

Nie spełnił się mój sen o pokoju.

H. JANUSZEWSKA.

DZIECKO

Zasłońcie mu oczy — zasłońcie!
Niech nie słyzy — niech się nie domie,
ze przez zbladłe okna patrzą w dom —
szaleńców oczami — grajkowie.

Melodja im skrzypce rozrywa —
cisną je do twarzy zbladłych.
Idą na drogi, na świat.
Szeleści liść opadły...

Niech się nie domie! Nie słyzy!
bijących w powalę skrzydeł.
Zmilczcie... Dziś krmarzy ptak
z rozdartych wyrwał się siddel.

Kraży nad topolą, nad sadem,
zawodzi — bohaterski sokół.
Ciśnijcie węgielki na wodę —
od uroku...

Zasłońcie mu oczy — dziecku —
niech się nie struje dziwem,
bo stężeje w cierpieniu nad moc —
— dalekie i nieszczęśliwe.

Życie przed niem — głazem upadnie,
porozszedniość stanie, jak cisza.
Będzie się szarpał — i szukał, gdzie głos,
który w dzieciństwie słyzył.

JADWIGA KIEWNARSKA

1)

W STOLICY

Aniby się ułan Gierdwoyn śmiał spodziewać, że on i jego koń znajdą się w tak gorącym czasie w stolicy. Ale fortuna kołem się toczy. Wszędzie tak jest — a już na wojnie najbardziej chyba.

Straszny pies był z porucznika. Do braci Gierdwoynów szczególną jakąś żywił awersję i „paniczykami” ich przezywał. Jak zdołał pod łatanym frenchem i uczciwą, żołnierską skorupą frontowego brudu ową „paniczykowatość” wywęszyć, to już była tajemnica jego „chamskiego” nosa.

„Cham” był to raczej skrót porucznikowego nazwiska — Chamkiewicz, niż aluzja do jego pochodzenia. Bo zresztą pan porucznik był synem drobnego urzędnika z wielkiego miasta Wolkowyska i ział nienawiścią w dół i w górę, sprawiedliwie nią ogarniając zarówno „panów”, jak „chamów”. Do Gierdwoynów czepiał się stale o byle co. Ale i to „byle co” niełatwo było znaleźć: wzorowi to byli ułani. Starsi frontem, niż świeżo w szkole podchorążych upieczony porucznik, zahartowani w ciężkiej, partyzanckiej służbie. Smarkacze, a stare wygi.

Wzajemna dokuczliwość dowódcy i podkomendnych wzmagała się coraz bardziej. Aż tu nagle wszystko się odmieniło. Po przejściu Narwi. Przebywali ją konno, wpław. Cały szwadron. Kule czubaryckie gwizdały niezgorzej. Jedna upatrzyła sobie właśnie porucznikową kobyłę i zabójczo podkreślony wąsik służbistego oficera znalazł się naraz pod wodą.

— Pietka! Trzymaj porucznika! — wrzasnął Witold Gierdwoyn, zdzierając konia ku tonącemu. Brat Piotr złapał szarżę za kołnierz, Witold pod pachę, i tak, choć prąd był wartki, wywindowali się szczęśliwie wszyscy na brzeg.

Odtąd, jakby kto Chamkiewicza odmienił: miękki się zrobił, jak masło. Obu braci przedstawił do krzyża i pozwalał im na wszystko, czego tylko zechcieli. Szkoda, że na tym zatraconym froncie nie bardzo jest czego chcieć. Zwłaszcza w partyzanckich oddziałach. Żołdu i furazu miesiącami człek nie oglądał, o żywność dla siebie i konia sam się musiał starać, a nieraz nawet broń i tego konia — na bolszewikach zdobywać.

Właśnie takim zdobycznym koniem był wierzchowiec Witolda Gierdwoyna — Trocki. Szpetny jucha, jak skaranie boskie. Kirgiz, z mordą kosmatą, jak sobaka, lewe ucho miał ucięte do połowy, w niewiadomej jakiejś bitwie, nogi niskie, tak, że kiedy się obzał, napęczniały brzuch zdawał się wlec po ziemi. A żreć mógł wszystko, byle dużo: siano, słomę, opilki drzewne, postronki... Na każdym postoju, najadłszy się, ile wlaźło, próbował tej samej psoty: nie dawał się osiodłać. Stękał załośnie, nadymał brzuch, jak banie, i nie sposób było na nim zapiąć popręgów. Gierdwoyn kłął w jasną cholerę i zatraconą mać. W rezultacie często bywał w szeregu ostatni i musiał bractwo galopem doganiać.

Nieraz też obiecywał solennie, że w pierwszej lepszej mieścinie skórę z konia złupi i żydowi sprzeda; ale kiedy przy jakimś, dość pobieżnym, przeglądzie mundurów i koni, dowództwo chciało oddać „Troc-

kiego” do taborów, ułan tak jakoś sprawą pokręcił, tak się, komu trzeba, postawił, a innych molestował, że pokraczny wierzchowiec pozostał przy swoim zdobywcy.

Od czasu pomyślnej odmiany humorów porucznika, Witold Gierdwoyn nie spał i nie jadł (tak się to tylko mówi, bo naprawdę to żarł i chrapał, ile razy się dało), a wciąż przemyślał nad tem, jakby tę łaskawość szarży w sposób realny wykorzystać. Aż wreszcie wymyślił: zażądał urlopu wypoczynkowego, na cały tydzień, dla siebie i brata. I dostał. Odrazu, bez złego słowa. Mieli jechać razem, ale w ostatniej chwili Pietka upatrzył sobie w jakimś, nawpół spalonym dworze uroczą wdówkę i oznajmił, że nie mu po Warszawie. Tu zamierza odpoczywać, jako że czasy są niespokojne, a samotna kobieta narażona jest na zbyt wiele niebezpieczeństw i nie można zostawić jej bez męskiej opieki. (Bóg jeden wie, przez jakie hazardy przebrnęła już była owa ponętna niewiasta i jakie jej jeszcze groziły?!).

Ostatecznie, pożegnał się Witold z bratem po ułańsku (musiały wdowce zwiędnać uszy, jeżeli choć część tego pożegnania dosłyszała) i w mglisty, sierpniowy poranek załadował się wraz z koniem do pierwszego z brzegu pociągu. Zatknięty za futrzany kant „papachy”, dokument podróży głosił: Ułan: — Gierdwoyn, koń: — Trocki. Kierunek: — Warszawa.

Jechali blisko dwie doby. Pociąg był towarowy i szedł, jak sam chciał, a raczej, jak było można. Dwa razy wypadło zboczyć drogą okrężną. Front zdawał się następować im na pięty. Spotykane po dworcach łaziki gadali, że bolszewik tuż, tuż pod Warszawą. Witold przywykł już nie zważać na byle gadaninę. Najbardziej cieszyło go to, że w wagonie może spać za wszystkie czasy. Trocki z początku irytował się brakiem ruchu i powietrza, stękał po swojemu i usiłował brykać. Ale wkońcu dał sobie jakoś wyperswadować, że inaczej być nie może.

Noce były wilgotne i zimne. Dnie prawie upalne. Wylądowali na dworcu Kowelskim w olśniewające sierpniowym słońcem południe. Trocki zarżał radośnie, czując pod kopytami grunt stały, a nie ruchome deski wagonu. Ułan przeciągnął kości, zmęczone kontaktem z twardą podłogą. Rozejrzał się dookoła.

Kantyna „Pogoni”. Napis wyglądał zachęcająco. Gierdwoyn ujął konia za uzdę i tak go trzymając, wskoczył na stopień wagonu, wsadzając głowę do apetycznie pachnącego zbożową kawą wnętrza.

— Jezus Marja! Bolszewik!... — jęknęły niewieście dyszkanty, i trzy strwożone postacie wtuliły się w najgłębszy kąt wagonu.

— Gdzie bolszewik? — zdumiał się ułan, spoglądając dookoła i poza siebie. Ale prócz kilku snujących się po peronie łazików i służby kolejowej, nie było widać nikogo. Rozszerzone przestrachem źrenice zawisły na nim kurczowo. Zdjął więc baranią „papachę” (dobra była, jucha, w zimie; teraz — przy ciężka) i oznajmił najczystszy kresowym akcentem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków — odpowiedziały drżące

głosiki z wyraźną ulgą, a najmłodsza z trzech pań zaczęła się nerwowo śmiać i bezładnie tłumaczyć:

— Nie powinien się dziwić... Wszyscy żyją tu w nieustannej trwodze, w oczekiwaniu wroga... Ciągły niepokój, niepewność... Wy, tam na froncie, nie macie pojęcia, co znaczą nerwy!...

Zagryzając kawę bułką ze szmalcem, ułan zgodził się mrukliwie, że rzeczywiście na froncie nie wie się nic o nerwach. I że takiemu, choć o nich chciał coś wiedzieć, daleko chłopcy bobu. Otarł usta rekawem, podziękował i zeskoczył ze stopnia. Szelma Trocki już dobrą chwilę skubał go z tyłu za spodnie.

— Tak, przegryź mi, ofermo, ostatnie portki, to dopiero będą baby mdlały — rugnął go ułan, ale zaraz poczęstował na przeproszenie chlebem z solą, zafasowanym w wagonie, i zaprowadził pod pompę. Potem wyszedł z napojonym koniem na ulicę, dosiadł go i ruszył kłusem.

Dawno nie widział miasta. Wielkiego miasta. Wniszczone, żydowskie miasteczka, w których popasali, w niczem nie przypominały stolicy. Gierdwoynowi wydało się, że powietrze, którym tu się oddycha, jest inne, bardziej przezroczyście, bardziej błękitne: złote, niż tamto, przesiąknięte poleską wilgocią i błotem, a może i krwią...

Na rogach ulic stały stoliki, czwóciutko nakryte, elegancko zastawione. Piękne, bardzo piękne panie karmiły łazików. Nauczony doświadczeniem, Gierdwoyn na zapas już zdejmował „papachę“ i z odległości dziesięciu kroków uprzedzał:

— Proszę się nie bać: ja nie bolszewik.

Ale i tak nie zawsze udawało mu się uniknąć popłochu. Brudny, brodaty jeździec na kirgiskim koniu sprawiał niezawodne wrażenie bolszewika na zdenerwowanych mieszkańcach stolicy. Ulicznicy podnosili wrzask, dobroczynne panie na jego widok bladły i porwwały się do ucieczki, lub zastygały w tragicznym bezruchu.

Trocki z całym cynizmem korzystał z zamieszania, pakując włochaty pysk w piramidę kanapek i pożerając po trzy naraz. Najbardziej, jucha, lubił te ze śledziem.

Po chwili sytuacja się wyjaśniała. Zdziwione i wystraszone damy rozróżniały pod wagonowym kurtynem, sadzą i kepkami nierównego zarostu, rysy delikatne, prawie dziecinne, oczy duże i ciemne, nieufne, prawie dzikie i strasznie smutne zarazem, podobne do oczu schwytanego zająca.

— Ile pan ma lat, panie... ułanie?

— O już prawie... dwadzieścia! — skłamał dumnie, bo naprawdę to nie miał jeszcze osiemnastu.

— Biedne dziecko! — Oczy siwowłosej matrony zaszklily się łzami i naraz taka się zrobiła podobna do matki... matki Witolda.

Biedne matczyko! Biedni starzy rodzice! Bóg wie, czy ich jeszcze w życiu zobaczy? Bolszewickie piekło rzadko wypuszcza swe ofiary!...

Byłby się rozczulił, lecz naraz rozżłóścił się na siebie i na baby. — Biedne dziecko! — Na diabła mu ich litość i cały ten patetyczny bałagan. Karmi ją jedna z drugiej w mieście łazików i cywili, a na front żadna nie dojedzie. Przyszła raz na pół roku paczkę; cieszy się bractwo, myśli, że Bóg wie nie co, a tam

trzy zeschnięte pierniki, sześć wysypanych papierosów i świetny obrazek z pobożną sentencją. Tfu!...

Splunął, jak prawdziwy bolszewik, i dalej już, milczący i zły, fasował od stolika do stolika czekoladę i papierosy, bo wiedział, że z tego najbardziej się chłopcy na froncie ucieszą.

Zameldował się u władz. Długo i gęsto musiał się tłumaczyć z powodu nieprzepisowego munduru.

Wtężył zwrot, odmarsz miarowym wojskowym krokiem przez kurytarz urzędowego gmachu.

Przed gmachem niecierpliwił się Trocki, obgryzając drewniany słup, do którego był uwiązany.

— Teraz, brachu, pojedziemy do naszej panienki. Ale, ale... wartoby jej kupić jakichś słodkości.

Pakowne kieszenie łatanego frena nie miały żadnych pieniędzy, ale zato po skrupulatnym zbadaniu wydały trzy złote zegarki i srebrną „maszynę“ pianierownicę. Zdobywcze. Wszystko to zostawił ułan u jubilera. Ofiarowaną za nie kwotę przyjął, nie targując się i nie sprawdzając.

Fertyczna panienka w kolorowym fartuszkunapełniła największą bombonierkę najdroższymi czekoladkami.

— Wszystko ma być najlepsze, a o cenę niech się panna nie martwi.

Właśnie, że się trochę martwiła, bo choć bardzo już w mieście było niespokojnie i front coraz się zbliżał, ale takich kundmanów dotąd nie miała. Ale nie. Zapłacił, zaszutował i tyle go widziała. Nawet pożałowała, ponieważ, że tylko tyle. Bo ładny był bardzo ten ułan, mimo dziwacznej stroju, zarostu i brudu. I taki strasznie młody...

A ułan i jego koń podjeżdżali właśnie pod duży, biały gmach z zielonym ogródkiem, otoczony białą kolumnadą.

— Proszę powiedzieć pannie Lili Gierdwoynównie, że brat przyjechał z frontu i chce się z nią zobaczyć.

W oczach odzwiernej bezgraniczne przerażenie (wszędzie to przerażenie!).

— Nie można. Nie wolno. Pannom w internacie nie wolno widywać obcych.

— Tak cóż ja za obcy? Brat.

Byłby odtrącił babę siłą, tak go złościła ta głupota i ten, że mu nie chciała pozwolić widzieć się z siostrą. Ale właśnie w tej chwili rozległ się dzwonek i z głośnym gwarem i śmiechem zaczęły zbiegać po schodach granatowe pensjonarki. Dojrzały w uchylonych drzwiach smukłą postać żołnierza i jego fu-trzaną czapę. Rozległ się pisk i lament:

— Boże! Warszawa wzięta!... Bolszewik w sieni!... Bolszewicy w naszym ogrodzie!...

— Lilka! Cóż ty brata nie poznajesz?...

Zatrzymała się.

— Witek!...

Na nic się nie zdał protest odzwiernej, ani zgor-szenie klasowych dam, zwabionych hałasem. Wzorowa wychowanka najwytworniejszej stołecznej pensji zawisła na szyi brudasa i oberwańca.

— Witek! Jak się masz?! Wracasz z frontu? Na długo? Co to, cukierki? Boże, jakie ogromne! Ale jak ty wyglądasz!! Brudny! Zarośnięty!... Czy to u was tak trzeba?...

(dok. nast.)



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

ODWIEDZINY ASSYZU

Ucichły wiwaty, zgłuchły fanfary, zwiędły śnieżne róże, rzucane przez zastęp trzystu dzieci pod stopy monarszych oblubieńców, pogasły sztuczne światła iluminacji. Zatrzaśnięto wielkie drzwi frontowe górnej bazyliki św. Franciszka, którędy przed kilku godzinami sunął świetny orszak weselny w dół ku milczącej i mrocznej krypcie, aby pokłonić się prochom świętego Biedaczyny *).

Jakże szybko ścichły kroki doczesnych władców tej ziemi, do której, jak do siostry ukochanej, tulił się przed skonem Ten, który za żywota swego dobywał z jej łona źródła, tryskające gwoździ napojenia spragnionych i kazał jej kwitnąć różami bez kolców, a po śmierci stał się sam najczystsza krynica natchnienia ziemskich śpiewaków i najwonniejszym kwiatem w wirydarzu Niebiańskiego Ogrodnika. Tam, gdzie przed chwilą szeleściły jedwabie i koronki, gdzie brzęczały ostrogi i szpady ceremonialnych strojów, znów powiewają miękkie skrzydła zadumanych aniołów Cimabuego, a naiwne freski Giotto, osnute patyną sześciu wieków, wyblakłe od słońca i wilgoci, zdają się odrywać od murów, żyć własnym niematerialnym życiem wizji, tak są przejrzyste, powiewne, odcieleśnione.

Górna bazylika — to jeden radosny, tęczyowy, świetlany i płasający wzlot duszy ludzkiej, wyprowa-

*) W Bazylice św. Franciszka z Assyżu odbył się niedawno ślub królowy włoskiej Giowanny z carem bułgarskim Borysem.



Widok ogólny Assyżu i dwóch średniowiecznych cytadel, broniących miasta.

dzonej na słońce z ponurej ciemnicy średniowiecza przez świętego kaznodzieję ptaków, ryb i wilków.

Bazylika dolna — to mroczny przybytek medytacji nad marnościami świata tego, nad wielkością ubóstwa, posłuszeństwa, czystości, które w natchnionych, ale także jeszcze bardzo scholastycznych i sztywnych malowidłach uwiecznił Giotto, ten sam Giotto, który tam, w górze, jest rozśpiewanem, igrającem, pełnem prostoty pacholęciem.

Te dwie bazyliki — to jakby w mur i barwę zaklęte dwie fazy życia ludzkości: w dole noc średniowiecza, w górze — świt renesansu.

Bo czemuż, jak nie odrodzeniem w Chrystusie kultu wszechświata, było całe życie i twórczość świętego Franciszka? I czyż ten święty, na podobieństwo Zbawiciela urodzony w stajence, naznaczony stygmatami Męki Pańskiej, wyzbywający się wszelkiego ziemskiego dobra, użycia i chwały, za nakazem Chrystusa, przemawiającego doń z krucyfiksu, pognębiający w sobie materję aż do unicestwienia ciała — czyż ten Święty nie przywrócił wydziedziczonej i wyklętej przez scholastyczną doktrynę przyrodzie utraconych przez nią praw w życiu człowieka, w poezji i sztuce?

I pomyślmy, czy Giotto, Cimabue, Pietro Lorenzetti mogliby tak malować, jak malowali, gdyby nauka i przykład świętego Franciszka nie otworzyły im oczu na piękno umbryjskiego pejzażu, na magiczną potęgę słońca, na radość człowieka na ziemi ku chwa-



Klasztor świętego Damiana pod Assyżem.

le Pana w niebiosach? I jeżeli —
Dantem mówią, że zmagił się
w nim tragicznie dawny czo-
wiek średniowiecza z nowym
człowiekiem renesansu, to o
ileż ostrzej uwydatni się ten
kontrast u św. Franciszka, któ-
ry ciało swe dobrowolnie oku-
ł krata włosienicy, a duszy ka-
zał śpiewać Hymn do słońca.
I czyż ta walka Jakóba z Anio-
łem, jaka toczy się od wieków
w duszy każdego wielkiego
przodownika ludzkości, nie
przybiera kształtów równie ty-
tanicznych na tle cichego leśne-
go eremu dei Carceri, jak w wi-
rze walk politycznych potężnej
Florencji? I czyż dobrowolna
banicja ze świata żywych i
możliwych, na jaką się skazał
święty Biedaczyna, mniej ma
w sobie wielkości i majestatu,
niż przymusowe wygnanie
wielkiego poety, którego duma
i poczucie własnej potęgi o wie-
le przerastały wieże rodzinne-
go miasta? Te myśli muszą nasu-
nąć się każdemu, kto,
siedząc w zadumie pod niskim sklepieniem dolnej ba-
zyliki i, wpatrując się w zaludniający je tłum postaci,
wśród rzeszy, prowadzonej przez świętego Franciszka
na Górę Doskonałości, dostrzeże natchnioną postać
Dantego w habicie tercjarza...

Ta postać — to więcej, niż wspomnienie wielko-
ści: to niejako symbol człowieczeństwa, wstępującego
do przybytku uduchowienia. Bo, podobnie, jak Dante,
każdy, co przekroczy próg tej bazyliki i zanurzy się
w jej tajemniczy mrok, ma wrażenie, że tam, za pro-
giem zostawił swoje światowe uciechy, swoje ziemskie



Średniowieczna uliczka w Assyżu.

troski i doczesne udręki. Strudzony wędrowiec otrzą-
snął z siebie pył dalekiej podróży; z czoła opadła
maska; chłodny powiew podziemi omywa z jego twa-
rzy sztuczny uśmiech i konwencjonalną powagę. Znikł
światowiec, podział się gdzieś zawzięty zapaśnik
w walce o byt, spokorniał zuchwały zwycięzca w wy-
ścigu pracy, zmalął okrzyczany rekordowiec.

Do krypty zstępuje znużony pielgrzym, człowiek
samotny, bezdomny i ubogi. Jego dorobek życiowy —
to sakwy podróżne, które zostawił przed wrotami
świątyni, jego cały majątek — to te groszaki leż niewy-
lanych, które kapią ciężko na dno duszy, jak pieniądz
wdowi na dno skarbony. To już nie
koronowana głowa, mędrzec dostoj-
ny, świetna artystka, ulubieniec tłu-
mów, pięknoduch, esteta, czy szary
życiowy wyrobnik. To u grobu świę-
tego klęka skrzywdzone bezradne
dziecko, któremu życie nie dotrzy-
mało swoich najpiękniejszych obiet-
nic i które tu, w mętym brzasku
niewidzialnych lamp, ukrytych za
załomem muru, w tym świetle, są-
czącym się, jak woda, ze skały — za-
czyna rozumieć, że spokój i prawda
jest właśnie tu, w tym złomie opoki,
ukrywającym garsteczkę kości, w
których tli się ogień wiary i wiel-
kiego miłowania.

Mijają długie godziny. Na czte-
rech ołtarzach, otaczających grób
świętego, dopalają się świece. Moc-
no pachną wędnące górskie zioła.
Służebny braciszek w habicie fran-
ciszkańskim troskliwie wymiata pył,
naniesiony stopami pobożnych na
kamienną, wydeptaną posadzkę.
Czyżby wymiatał także próchno ze-
tłałych dusz, które tu przyszły szu-
kać ochłody i pokrzepienia?...



...Na tej samej drodze, po której sunął przed paru godzinami orszak weselny, skrzypi
wóz, zaprzężony w siwe woły umbryjskie.



Bazylika św. Franciszka w Assyżu, w której odbył się ślub królowy Giovanny z carem bułgarskim Borysem.

...Brzęk kluczy. Człowiek dorosły, który stał się dzieckiem, dźwiga się z kłęczek. Lekko wstępuje na schody. Pośpiesznie mija długi szereg kaplic, zmierzając ku wyjściu.

W progu staje olśniony i długo trwa nieruchomo w zapatrzeniu. Wita go radosnym uśmiechem ta sama dolina piękności i krasy, która wykołysała natchnienie świętego Franciszka; czoło jego pieści to samo słońce, pod którego błogosławionymi promieniami zakwitły nieśmiertelne „Fioretti”.

Raduje się niebo i ziemia, że przybył jeszcze jeden kwiat do wirydarza świętego Franciszka.

Z OSTATNICH WYSTAW

Reprezentacyjne portrety Norblina, dywany wschodnie Wandy Neumanowej. — Wystawa w Zachęcie.

Wystawa prac malarskich Stefana Norblina w Salonie Garlińskiego uwydatniła, dobrze nam znane z jego popularnych i powszechnie lubianych ilustracji, walory jego talentu.

To samo opanowanie techniki, płynność linii, miękkość kolorytu; ta sama swoboda faktury, czasem aż zabójcza w swej łatwości, graniczącej z niebezpieczeństwem szablonu.

Gros wystawy, poza dużą kompozycją historyczną „Marcin Luter w Wormacji”, odznaczającą się dobrym rozmieszczeniem figur i nieco konwencjonalnym potraktowaniem tematu, stanowią portrety, w całym tego słowa znaczeniu, reprezentacyjne.

Portret reprezentacyjny jest tak stary, jak ceremoniał dworski. Już we wnętrzach piramid znajdu-

jemy reprezentacyjne portrety faraonów, które cechuje, jak całe zresztą malarstwo egipskie, konwencjonalny chłód i etykietalna sztywność. Od tej pory portret reprezentacyjny przechodził rozmaite fazy, stosownie do epok i warunków, w których powstawał.

Portrety Norblina niewątpliwie są odbiciem gustu nietyle epoki, co upodobań pewnej sfery społecznej. Ministrowie i dygnitarze na jego płótnach są upozowani doskonale i ubrani bez zarzutu. Mają te nieprzeniknione maski gentlemanów, przez które prześwieca dyskretnie dusza współczesnego człowieka, zgaszona przez dobre wychowanie, życiowy takt lub snobizm.

Panie są wykwindne, urocze, tajemnicze i dystygnowanie nudzą się w ramach obrazu, z wyjątkiem Zuli Pogorzelskiej, która, zdaje się, przysiadła na jakimś niewidzialnym spręcie, jak motyl, mający za chwilę ulecieć w przestworza.

Wszystkie te portrety odznaczają się uderzającym podobieństwem i trafnym upozowaniem modela, w linjach ciała dającym niejako odpowiednik jego duchowej treści. Wszystkie przytem noszą niezatarte piętno salonu. Jest to modny cercle, nie galerja naszych bliźnich. Nawet święta Genowefa, spuszczaająca oczy ze sztuczną skromnością, to raczej figlarna dama, przebrana za Nitouche, niż mniszka z witrażu.

Dywany pani Wandy Neumanowej, dotychczas chlubnie znanej miłośniczki sztuki, wystawione uprzednio w tymże salonie — to szereg ciekawych prób zastosowania techniki perskiej do motywów ludowych i kompozycji dekoracyjnych, utrzymanych raczej w charakterze makaty lub kilimu. Najszybciej wypadły dywany o motywach wschodnich, we



Dywan z motywów ludowych i staropolskich, wykonany techniką perską przez p. Wandę Neumanową.

własnym układzie p. Neumanowej. Harmonją barw, proporcją wymiarów i smakiem w posługiwaniu się uproszczonymi motywami ludowymi (gałązki, kwiatki, koniki) odznacza się dywan o ciemnym obramieniu z girlandami kwiatów, wzorowanym na starych tyzenhauzowskich kilimach, i jasnym polu środkowym, pełnym życia, ruchu i giętkości.

W Zachęcie tym razem króluje egzotyzm. Egzotyzm w stosunku do rzeczywistości u Vlastimila Hoffmanna, egzotyzm techniki u Kiry Banasińskiej, egzotyzm tematu u Strzemińskiego. Zbiorowa wystawa prac Vlastimila Hoffmanna nie wnosi właściwie nic nowego do tego, cośmy wiedzieli dotychczas o tym mistrzu i miłośniku dziecięcej zadumy. Tylko „Śmieciarze” i „Pastuchy” świadczą o męskim wysiłku w kierunku dokonania pewnego wyłomu w zaczarowanym kręgu zaskorupiałej maniery artystycznej na drodze zdrowego realizmu.

Kira Banasińska, polka, urodzona i wychowana na Dalekim Wschodzie, zaprezentowała kolekcję malarstwa na jedwabiu, sumiennie wypracowanych, w stylu dawnej sztuki japońskiej i chińskiej. Czy rzeczywiście odpowiadają one duchowi tej sztuki, to osądzić mógłby tylko czystej krwi mistrz japoński. My musimy się zadowolnić skonstatowaniem precyzji i doskonałości rzemiosła artystycznego.

Kazimierz Strzemiński przedstawił plon letnich wakacji: dwie ściany olejnych studjów pejzażowych ze starych miast bułgarskich. Artyście udało się szczęśliwie uchwycić kontrast między głębokim, szafirowym cieniem, a ostrym blaskiem południa, charakterystycznym dla Bułgarji. Kilka z jego prac zakupiły dla swych zbiorów muzea bułgarskie. S. P. O.



Stefan Norblin: Zula Pogorzelska.



Stefan Norblin: Mieczysława-Augustowa Zaleska.

Z TEATRÓW

Teatr Letni: „Nie rzucaj mnie, Madame”, komedia w 3 aktach Stefana Kiedrzyńskiego. Reżyserja Pawła Owerly.

Kto zna „Broadway” i „Artystów” i chce zobaczyć, jak z dwóch dobrych melodramatów można zrobić jedną złą farsę, niech pójdzie na sztukę „Nie rzucaj mnie, Madame”.

Autor niedbale zlepił tu dwa motywy odrębne, których nie umiał wcielić w jeden organizm sceniczny: intrygę na doskonałe podpatrzonem tle małomieszczańskim z satyrą na nadmierny przerost teatrzyków rewjowych.

„Mistrz” dał się uwieść swemu delikwentowi i nieopatrznie przerzucił środek ciężkości zainteresowania swego i widzów z akcji sztuki na zakulisowe życie teatralne. Za autorem poszła reżyserja, dając daleko staranniejszą oprawę sceniczną kabaretowi, niż restauracji w Moczygłowach. Treść sztuki, zaczerpnięta z rubryki działalności handlarzy żywym towarem, zaliczyć można do kategorii inwencji kurjerkowych. Skala, ponad którą autor „Czystego interesu” i „Miłości bez grzechu” w poprzednich swoich sztukach szczęśliwie zdawał się wyrastać. Szkoda, że ten wzrost został raptownie zahamowany.

W sztuce królował niepodzielnie Kurnakowicz w roli reżysera Przybory vel Cimmermana. Uwydatnił wszystkie rasowe cechy tego hochsztaplera kabaretu z finezją artysty dużej miary. Z sylwetki stworzył studjum psychologiczne w stylu komedjowym.

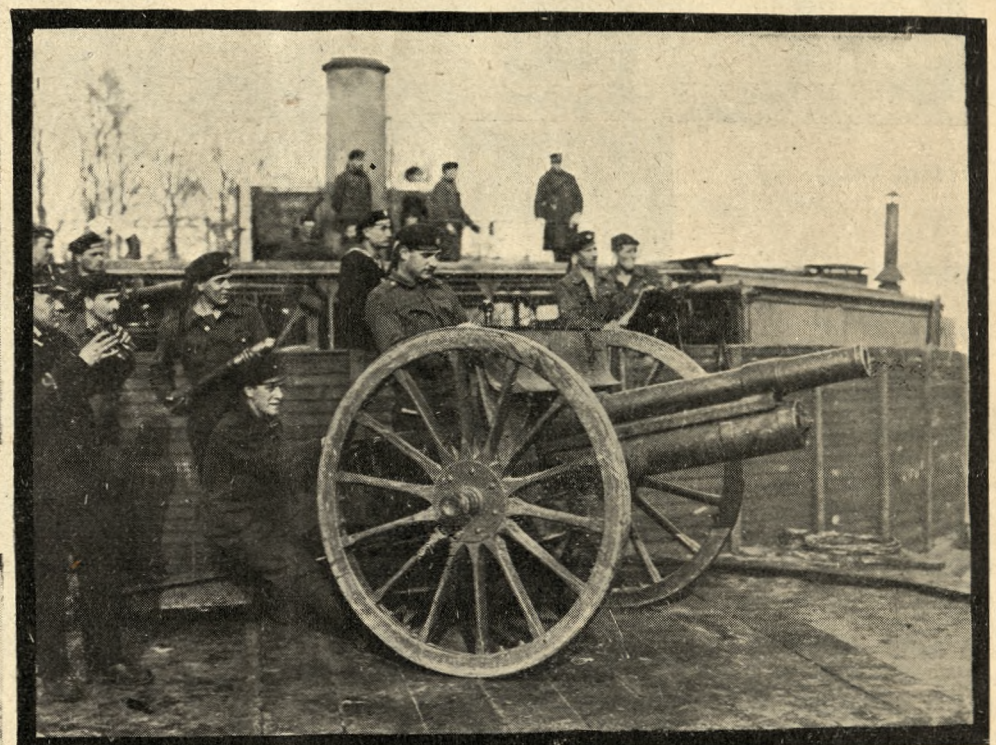
Główni bohaterowie sztuki: Gorczyńska i Fertner dali parę błędów i szablonową. Reszta wykonawców figurowała na scenie bez głębszego przekonania o konieczności własnego istnienia.

S. P. O.

JAK TO BYŁO DZIESIEĆ LAT TEMU



Starodawny dom „Czarnoglówców”
w Rydze, w którym był podpisany
traktat ryski.



U góry: Tyraljera wojsk polskich na
froncie w walce z bolszewikami.

Flotylla polska na Prypeci w walce
z bolszewikami.

Na lewo: Pierwsze spotkanie dele-
gacji polskiej z bolszewicką w spra-
wie rozejmu.

Wszystkie zdjęcia ze zbiorów Mu-
zeum Narodowego w Warszawie wy-
konał J. Ryś.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

KOBIETY BUDUJĄ.

Wszędzie w większych ośrodkach powstają domy, budowane bądź przez spółdzielnie, bądź przez stowarzyszenia kobiece. W Niemczech Zrzeszenia kobiece budują ogromne gmachy, to samo w Anglii, we Francji kobiety stoją na czele propagandy mieszkaniowej, gdyż zdrowe, czyste, i wystarczająco przestrzenne mieszkanie jest podstawą zdrowia i normalnego życia rodziny.

Kobiety powinny masowo wybierać jako zawód architekturę, daje bowiem ona poważne widoki powodzenia osobistego i przyczynienia się do rozbudowy kraju i piękna gmachów i domów, tak w mieście, jak na wsi, gdzie tak wiele jeszcze jest do zrobienia.

Nie wystarczy jednak ukończyć kurs architektury na Politechnice: chcąc projektować dom, trzeba praktycznie *umieć* go postawić. To też każdy architekt, czy architektka musi przejść taką murarską praktykę. A każda położona cegła zmniejsza klęskę mieszkaniową.



Tak się kładzie cegły.

INNY KRAJ, INNY OBYCZAJ.

Kobiety japońskie zabrały się teraz z całą energią do walki o prawa polityczne. Świeżo przyznano im prawo wyborcze, czynne i bierne do samorządu. Nie przestały jednak na tym pierwszym kroku do zrównania praw i obowiązków, lecz prowadzą dalej agitację. Delegatki zrzeszeń kobiecych i nowo wybrane radne, udały się do stowarzyszenia burmistrzów miast japońskich, aby od tego wielkiego i bardzo wpływowego towarzystwa uzyskać poparcie przy głosowaniu nowego projektu prawa wyborczego do parlamentu, prawa obejmującego cego i kobiety.

Widzimy tu odrazu zasadniczą różnicę obyczajów japońskich: wszyscy panowie siedzą, ani jeden nie podniósł się, podczas gdy kobiety stoją!



Japonki u burmistrzów.

PRZYSZŁY KRÓL BELGII JUŻ SIĘ URODZIŁ.

W przeciwieństwie do Anglii, która napróżno oczekuje przyszłego monarchy, Belgja ma już następcę. W tych dniach odbył się uroczysty chrzest nowonarodzonego księcia Brabantu, który otrzymał imię Boduena.



Księżna Astrid ze starszą córką.

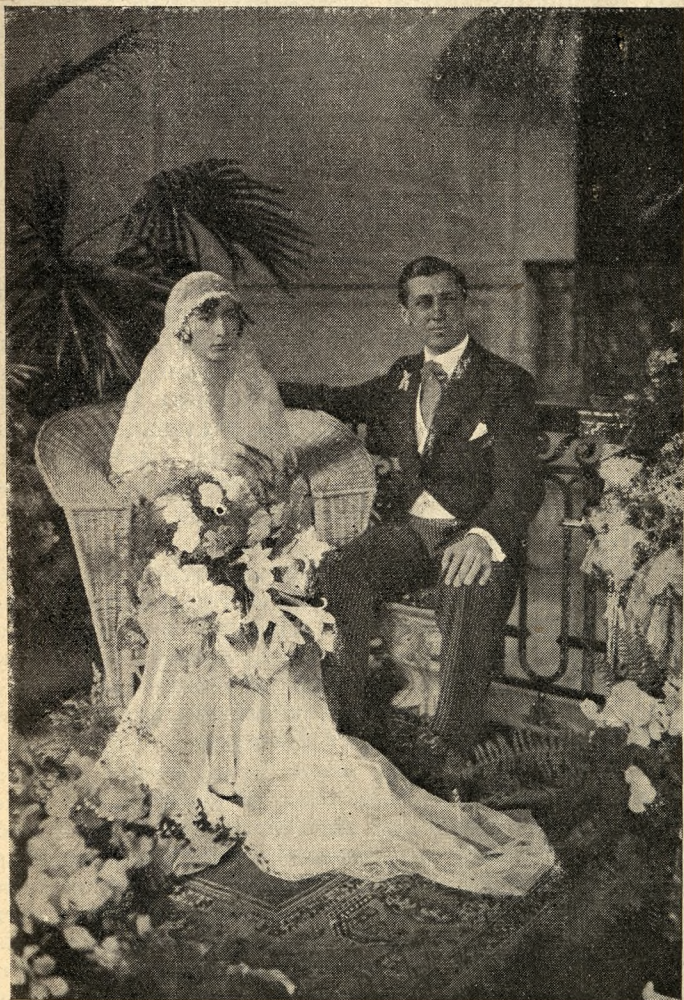
REGULACJA URODZEŃ W EUROPIE.

Sprawa regulacji urodzeń zaczyna w Anglii zataczać coraz szersze kręgi. Ustanowienie specjalnych poradni dla mężatek zależne jest obecnie od decyzji wydziałów zdrowia poszczególnych rad miejskich. Cały szereg rad (między innymi w Londynie i na wszystkich przedmieściach) tworzy te poradnie. Wypadki, w których mężatkom udzielone zostają porady, obejmują przyczyny następujące: zły stan zdrowia, liczne potomstwo, ciężki stan materialny, bezrobocie ojca i matki rodziny i inne.

Podobne postanowienia zapadły na siódmej międzynarodowej konferencji regulacji urodzeń w Zurychu. Konferencja uchwaliła, że regulacja urodzeń jest zasadniczą częścią programu zdrowia publicznego.

MAŁŻENSTWO W SFERACH
DYPLOMATYCZNYCH.

W Katedrze św. Jana odbył się w ubiegłym tygodniu ślub ks. Krystyny Radziwiłłówny z hr. Józefem Potockim, chargé d'affaires ambasady polskiej w Paryżu. Obecni byli minister spraw zagranicznych Zaleski, oraz liczni przedstawiciele dyplomacji polskiej i zagranicznej.



Młoda para.



Ślub króla bułgarskiego z księżniczką włoską. Nowo zaślubieni udają się do grobu św. Franciszka z Assyżu.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA

Polityka polska, jak każda inna, związana jest nierozdzielnie ze stanem polityki ogólnie europejskiej, a nawet, jak obecnie, ogólnie światowej. Przez politykę zaś należy rozumieć nie tylko posunięcia dyplomatyczne, ale uzgodnioną z nimi postawę i działalność całego narodu, która powinna być tłem i odpowiednikiem działalności rządu. Aby wiedzieć, jaką postawę zająć musimy, nie od rzeczy będzie przypomnieć sobie pokrótce, jakie zmiany zaszły w stosunkach tych państw, z którymi sąsiadujemy, lub z którymi wiążą nas sojusze.

Najważniejszym wypadkiem była w tym roku ewakuacja Nadrenji. Anglja i Francja usunęły z Niemiec swe wojska o wiele wcześniej, niż to było przewidziane w warunkach pokoju.

I cóż się stało? Oto do ewakuowanych terenów wkroczyły, wbrew umowie, bojówki Stahlhelmu, wywołując prawie rewolucję. Poza to partja Hitlera podburzyła opinię przeciw spłacie długów wojennych, a ze wszystkich stron zaczęto w Niemczech wołać otwarcie o utworzenie armji, co najmniej tak potężnej, jak przed wojną, o rewizję granic i odebranie Polsce Pomorza!

Agitacja niemiecka, zwłaszcza po zwycięstwie Hitlera przy wyborach, nie cofa się przed żadnym środkiem. Coraz to dowiadujemy się, że któryś z wybitnych polityków, ba! szefów rządu, przyznaje Niemcom rację. To lord Rothermere, to Briand, to Massaryk, to... Mussolini. Cóż, że rządy danych państw prostują te kłamstwa i zaprzeczają, zawsze tam coś w umysłach łatwowiernych zostanie!

A cóż wobec tego państwa, z Polską sprzymierzone?

Rządy stoją oficjalnie na dawnym stanowisku, rzecz prosta, ale w tym ogromnym splocie konfliktów i interesów znajduje się zawsze jakieś *ale*.

We Francji rozpętała się propaganda na rzecz Niemiec, w której przoduje król dziennikarzy pan... Sauerwein z jednej, a redaktor „La victoire” Hervé z drugiej strony. Włochy mają pewne scysje z Francją z racji spraw morskich, Anglja niesłychane trudności wewnętrzne z bezrobociem, dominjami i powstaniem w Indjach. Wszystko to rozzuchwala butą niemiecką do ostatecznych granic, osłabia dawną siłę i jednolitość państw koalicyjnych, wszystko jest groźbą dla nas.

Trzeba o tem pomyśleć przed wyborami, trzeba pamiętać!

SZTUKA ROZMAWIANIA

(dokończenie).

Młoda angielska samem swem zachowaniem nie dopuszcza nawet myśli o możliwości obrażenia jej, to też nikt nie ośmielił się tego uczynić. Coprawda, niechby się kto ośmielił!... odpowiedziałyby nie szereg mniej lub więcej piskliwych wykrzykników: „pan jest nieznośny!...”, „pan jest niemożliwy!...” i t. d., lecz konsekwentne i solidarne zamknięcie drzwi wszystkich szanujących się domów przed gburem i brutalnym, nieumiejącym się zachować w obecności kobiet.

Jedną z najpoważniejszych przyczyn powszechnego u nas braku tematów do rozmowy towarzyskiej jest brak zainteresowań umysłowych — to, że czyta się u nas tak mało i tak źle. Zwolenniczkami literatury pięknej bywały zawsze kobiety raczej, niż ich mężowie, znużeni zawodową pracą i troską o byt rodziny. Dziś jednak tak się jakoś dzieje, że zarówno pani pracująca, jak pani kwestująca — są mało intelektualne. Zwłaszcza pani kwestująca.

Nie sądzę, aby ktokolwiek tęsknił dziś do typu zmanierowanej „précieuse’y”; nie byłoby pożądane, aby pani, polecając Marysi kupienie na obiad schabu, mówiła:

— Nabędziesz pieczeń ze zwierzęcia, jadającego żółędzie.

Bynajmniej nie o to chodzi. Ale trudno mi jest myśleć bez rozrzuconej sympatii o tej markizie, co się tak przejęła „Nową Heloizą” Rousseau, że kazała wyprząć konie z karocy i nie pojechała na dworski bal, aby tylko móc nie przerywać pasjonującej lektury. I to dla takiego manjaka, jak Jean Jacques, i jego arcynudnego powieściidła! Której z modnych pań mogłoby się coś podobnego wydarzyć, nawet przy czytaniu tak pięknej i mądrej powieści, jak „Niedobra Miłość” Natkowskiej?

Na eleganckim „thé dansant” rozmawiałam ze śliczną i ślicznie ubraną damą.

— Widzi pani — powiedziałam do niej — jak ta pani jest podobna do Iłakowiczówny?

Podniosła na mnie wielkie, zdziwione oczęta i zapytała bezradnie:

— A kto to jest Iłakowiczówna?

— Poetka, bardzo znana poetka.

— A czy ona pisuje do „Kurjera”?

— Nie, od dość dawna nie umieszczano tam jej utworów.

— Ach, więc nie mogę jej znać! — zawołała z uciechą śliczna pani — bo ja dopiero od niedawna prenumeruję „Kurjera”, a to głównie dla artykułów kochanej pani — dodała z uprzejmym uśmiechem. Ta czarująca istota zdawała się nawet nie podejrzewać istnienia książek.

Wyjątek! — powiecie państwo? Ach, gdybyż to był wyjątek! Nieraz po podobnych rozmówkach wstępuje we mnie duch kaznodziei i pragnę wołać grzmiącym głosem:

— Na miłość boską, uczcie się panie czytać! Wprowadźcie czytanie w modę, jeżeli nie chcecie, aby takie określenia, jak „kobieta z towarzystwa”, albo „osoba ze sfery inteligentnej” stały się pustym dźwiękiem. Pamiętajcie, że w zakresie stroju przelicytuje was zawsze każda Zośka Imbryczek, której los postawi na drodze jeszcze nie doszczętnie zrujnowanego hrabiego, każda Melanja Barchan, posiadająca własną hurtownię jedwabiu. I jakaż będzie ostatecznie

różnica między Panią, a Marysią z kuchni — Marysią, która tak samo, jak Pani, nosi modne sukienki i jedwabne pańczoszki, tak samo, jak Pani, ma przy łóżku Decobrę w lichym tłumaczeniu i tak samo, jak Pani, tyle wie o Słowackim, że „to jakiś nieboszczyk, który morzem przyplął do Warszawy”?

A w dniu, w którym adorator Marysi, dzielny strażak, wrzuci do pieca „Trędowną decobrę”, a na jej miejsce położył tom „Trylogii”, albo „Pana Tadeusza”, w tym dniu Marysia będzie mogła udzielić swojej pani lekcji literatury ojczystej i dobrego smaku wogóle.

Do tego przecież nie można dopuścić i dlatego błagam Cię, o śliczna Pani, uczyni z dobrej książki na biurku rzecz chociażby tak modną, jak... melancholijny pajac na poduszkach kanapy.

Tak z pewnością wołałabym, gdybym nie była pewna, że głos mój musi pozostać głosem wołającego na puszczy. A szkoda, wielka szkoda! bowiem dla ludzi, którym dostępna jest rozkosz czytania, rozmowa o przeczytanych książkach staje się spotęgowaniem tej rozkoszy. Czytając mało i źle, ludzie pozbawiają się dobrowolnie źródła wielkich radości i to takich, których ani wiek, ani choroba, ani ubóstwo — zatruć nie są w stanie.

Wszelkie zamięłowania do sztuk pięknych: teatru, rzeźby, malarstwa etc. mogą dostarczyć ciekawych tematów do rozmowy, o ile są naprawdę zamięłowaniem, a nie modnym snobizmem. Łatwiej darować entuzjastyczne głupstwo, wygłoszone w dobrej wierze, niż mądry frazes, zasłyszany gdzieś z ust miarodajnych, wyuczony napamić i powtarzany z aplombem, w zupełnie nieraz niewłaściwych okolicznościach. Takie próby olśniewania bliźnich zapożyczoną erudycją obfitują nieraz w momenty tragicomiczne.

Snobizmu jednak nie należy zbyt lekceważyć, bowiem nieraz chęć zapoznania się z modnym rodzajem sztuki, zrodzona pod wpływem próżności, z czasem staje się prawdziwym zamięłowaniem.

Niezawodnym sposobem ożywienia wlokącej się ospale rozmowy jest opowiedzenie dobrej anegdoty, ale anegdota ta musi być naprawdę zabawna, nie trywialna i przynajmniej połowie obecnych nieznana. Opowiedzenie w towarzystwie anegdoty budzi ducha emulacji, wnet wszyscy zebrani przypominają sobie „kawały” jeszcze dowcipniejsze (ich zdaniem), niż dopiero co opowiedziane, i wszyscy zaczynają opowiadać, przekrzykując się wzajemnie i śmiejąc się na zapas.

Ostatecznie, taki gwar przypomina do złudzenia świetną zabawę; serca gospodarzy powinnyby rosnąć, gdyby nie obawa, że właściwa miara tego, co można opowiedzieć przy paniach, a czego nie można, zostanie lada chwila zatraczona i wypadnie wziąć którego z gości pod ramię i poradzić mu życzliwie, ale stanowczo, żeby poszedł się przespać.

W praktyce nieraz miara bywa grubo przekraczana, ale przekroczenia toną w wybuchach śmiechu, a gospodarz wciąż się nie decyduje na przedsięwzięcie kroków ostatecznych. Dopiero nazajutrz pantoflowa poczta zaczyna roznosić po mieście wieść, że „u Iksowiczów zachowywano się tak skandalicznie, iż szanujący się ludzie powinni tam przestać bywać”. Najgłośniejszą, rzecz oczywista, gorszą się i oburzają te osoby, które wczoraj najgłośniejszą się śmiały.

Żeby opowiadać w towarzystwie anegdoty, trzeba, prócz zdolności narracyjnych, poczucia miary i

osobistego dowcipu, posiadać sporo cywilnej odwagi; zawsze bowiem może się zdarzyć, że najświetniejszy, naszem zdaniem, kawał, zamiast wybuchem śmiechu, zostanie przyjęty zdziwionem milczeniem. Wtedy bywa nieźle przykro i opowiadającemu i słuchaczom: opowiadającemu, że mu się dowcip nie udał, słuchaczom — że są tak mało domyślni.

A przecie nie wszyscy ludzie mają jednakowe poczucie humoru. Zdarzyło mi się, na przykład, słyszeć, jak bardzo eleganckie towarzystwo zaśmiewało się z opowiadań przystojnego, młodego porucznika o kawałach telefonicznych, jakie zwykł urządzać on i jego koledzy.

— Bierzemy książkę telefoniczną i wyszukujemy jakieś śmieszne nazwisko. O... np. Zając! Dzwonimy. „Czy to pan Zając?“ „Tak“. „No, to: pif! paf!“! Można sobie wyobrazić, jaki on musi być wściekły! A kiedyś o czwartej w nocy przyszło nam do głowy zatelefonować do państwa Zagwoźdżonów. Podchodzi mąż; przepraszamy, że telefon o tak spóźnionej porze i prosimy, aby koniecznie obudził żonę, bo mamy do niej interes w ważnej sprawie, niecierpiącej zwłoki. Pocziwiec idzie budzić żonę. My certujemy się z nią bardzo długo i kwieciście, bo wiemy, że ona tam marżnie, wyciągnięta w koszuli z ciepłego łóżka; nareszcie zapytujemy uroczyście: „czy łaskawa pani nie zechciałaby nas poinformować, co panią właściwie zagwoździło?“... Ha, ha, ha!...

Młody oficer aż krztusił się od śmiechu, powstrzymywanego do końca opowiadania. Wtórowały mu dwie śliczne panienki, i siwowłosa pani domu, okazała generałowa, i jej małżonek. Mnie było ogromnie przykro, iż jestem tak pozbawiona poczucia humoru, że mi się wcale, ale to wcale nie chciało śmiać. Przytem wstyd mi było za moich współczesnych... przed empirowymi meblami tego salonu, pamiętającego czasy napoleońskie. I wstyd przed portretami dostojnych matron i kawalerów, ostrzyżonych à la Titus.

„Dobry żart, tyńfa wart“ — mawiali nasi przodkowie, ale za podobne dowcipy z pewnością nagrodziłby syna... porcją batów na kobiercu.

Ta niewybredność co do gatunku żartów, podobnie, jak zanik kunsztu lekkiej konwersacji, są to smutne rezultaty przyspieszonego tempa życia i braku czasu na rozrywki intelektualne. Trudno dawać recepty, jak należy rozmawiać, tym, którzy nie mają do tego chęci, ani upodobania. Można, conajwyżej, przestrzec przed tem, jak rozmawiać nie należy.

Istnieje przysłowie, ostrzegające, aby z generałem artylerji nie rozmawiać o armatach. Przysłowie to można przyjąć nie bez zastrzeżeń, zdarzają się bowiem artylerzyści, którzy o niczem, prócz swoich armat, mówić nie potrafią, i są uszczęśliwieni, jeśli im kto na ulubiony temat wygadać się pozwoli. Natomiast nie wolno ludziom dobrze wychowanym korzystać z towarzyskiego zbliżenia z generałem artylerji, aby z nim ubijać interesy, z artylerją związane.

Istnieje, niestety, mnóstwo osób, niezbitcie przekonanych o swem dobrem wychowaniu, które uważałyby za stracony wieczór, podczas którego nie zdołały: naciągnąć adwokata lub lekarza na bezpłatną konsultację; radykalnemu posłowi wytłumaczyć konieczności zaniechania reformy rolnej w okolicy, gdzie osoby te mają majątek ziemski; dygnitarza — poprosić o protekcję dla syna lub siostrzeńca etc... Takie osobistości nie zdają sobie sprawy, w jak trudnej sytuacji stawiają swych rozmówców i jaką przykrość

robią gospodarzom, do których ludzie wpływowi mogą mieć słuszną pretensję za atak, na jaki zostali w ich domu narażeni. Przeciwnie, podobni spryciarze chwalać się nieraz głośno tem, czego powinni się wstydić, i nie podejrzewają nawet, że dają jaskrawy przykład: *jak rozmawiać nie należy.*

Jadwiga Kieronarska.

ORGANIZACJA GOSPODARCZA WIEDENEK

Życie społeczno-organizacyjne kobiet austriackich kształtowało się w zupełnie odmiennych warunkach, aniżeli życie kobiet polskich. W Austrii stało się ono wynikiem trudnej sytuacji ekonomicznej i dlatego w pierwotnych swych przejawach miało charakter wybitnie gospodarczy. Pierwsze usiłowania organizacyjne w Wiedniu sięgają późnego końca XIX stulecia, gdy wiedenki zakładają związki rękodzielnicze i gospodarcze. Pierwsza organizacja, posiadająca szerszy zakres działania, jakby owiana już ideą społeczną — to „Związek Konsumentek“, utworzony w 1905 r. On to pokusił się o wypowiedzenie walki drożyznie, rozszalałej w tym okresie na rynku wiedeńskim.

Gdy porównamy działalność austriaczek z działalnością naszych kobiet, to przekonamy się, że nasze anormalne warunki polityczne stworzyły zgoła odmienny obraz wewnętrznego życia kraju. U nas punkt ciężkości skoncentrował się na zagadnieniach politycznych, pociągając co najwartościowsze jednostki do pracy konspiracyjnej, z zupełnem zaniedbaniem spraw, związanych ze stanem ekonomicznym i zagadnieniami gospodarczymi. Dlatego też dopiero po wielkiej wojnie europejskiej, po należytem zżyciu się z błogostanem niepodległości — polskie społeczeństwo kobiece zrozumiało konieczność zainteresowania się sprawami gospodarstwa domowego. To jest powodem, że wszystkie nasze poczynania na tem polu są wciąż jeszcze eksperymentami, gdy tymczasem organizacje gospodarcze kobiet na Zachodzie istnieją już od lat dziesiątków.

Zapoczątkowany w Wiedniu w r. 1905 „Związek Konsumentek“ szybko przekształcił się w silną organizację, istniejącą po dzień dzisiejszy, a noszącą nazwę „Reichsorganisation der Hausfrauen Oesterreichs“, której skrót „Rohö“ jest niezmiernie popularny. Niemki są ogromnie praktyczne, dlatego też wiedzą, że, chcąc pozyskać wyznawczynię dla swej idei, muszą dać im wzamian konkretne korzyści materialne. W tem tkwi tajemnica dzisiejszej potęgi tego związku.

„Rohö“ istnieje lat 20 i posiada 5.000 członkiń w samym Wiedniu oraz jeden jedyny oddział w Badenii. Zrzeszenie to miało znacznie piękniejsze chwile w swym rozwoju, kiedy liczyło zgórą 20 tysięcy członkiń na terenie Austro-Węgier, lecz kataklizmy wojny europejskiej, upadek Habsburgów, uszczupliły w znacznej mierze rozmach jego działalności, a kryzys gospodarczo-ekonomiczny, dający się obecnie dotkliwie odczuwać na całym świecie, stworzył dla „Rohö“ nowe warunki egzystencji. Działalność skoncentrowała się na znacznie mniejszym terenie, a zato skala zainteresowań i pracy wzrosła niepomniernie. Mimo wielkiej pobudliwości, jaka znamionuje życie polityczne

wiedeńczyków, „Rohö“ jest cichą przystanią, która łączy i jednoczy w sobie najskrajniejsze obozy, dzięki kompletnej apolityczności i opieraniu się twardo na gruncie swej specjalności: — *niesienia kobiecie pomocy i ułatwienia w walce z codziennymi potrzebami jej życia.*

Stąd widać, że „Rohö“ stawia sobie znacznie szersze zadania, aniżeli inne organizacje gospodarcze, bowiem okres doszukiwania się uproszczeń i udoskonalień jedynie w zakresie życia gospodarczego kobiety, ma już dawno poza sobą. Do prac i zainteresowań domowych włączona została troska o potrzeby osobiste kobiety-gospodyni, a przez nią także i pozostałych członków rodziny.

Skromna, bezpretensjonalna ulotka propagandowa „Rohö“ informuje doskonale o jej działalności. Na pytanie: „Co otrzymuję od „Rohö“? — dana jest cała litanja treściwych odpowiedzi.

A więc przede wszystkim: 1) ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków; 2) bezpłatna pomoc lekarska; 3) możliwość korzystania z wydziału opieki specjalnej nad dziećmi i starcami; 4) ulgi w miejscowościach kąpielowych i letniskowych; 5) bezpłatne porady prawne i zawodowe; 6) tania pralnia bielizny (t. zw. „Habsburg“); 7) coroczna dostawa taniego opału na zimę; 8) wypożyczalnia bielizny stołowej; 9) wypożyczalnia książek beletrystycznych i naukowych; 10) miesięcznik gospodarczy „Die Hausfrau“ bezpłatnie; 11) rabaty w szeregu firm wiedeńskich; 12) zniżki na komplety tańca oraz do salonów kosmetycznych.

Wydaje się rzeczą nieprawdopodobną, aby organizacja, której składka członkowska wynosi 4 szylingi rocznie, podobać mogła tylu obywatelom. A jednak pracuje ona wydajnie i przy kompletnej samowystarczalności.

Procedura ubezpieczeń od wypadków odbywa się w sposób następujący: „Rohö“ płaci towarzystwu ubezpieczeniowemu w Wiedniu po 50 groszy rocznie od każdej karty członkowskiej. Wszystkie członkinie są asekurowane do pewnej określonej sumy, jednakowej dla wszystkich. O ile która z członkiń pragnie ubezpieczyć swego męża, dzieci lub kogokolwiek z rodziny (z kim mieszka i kogo utrzymuje), skutecznieza to przez nabycie karty dodatkowej. Posiadacz takiej karty nie jest bezpośrednim członkiem „Rohö“, ma jednak prawo korzystania z pewnych przywilejów, jakie związek ten daje.

Ciekawa jest i na specjalną uwagę zasługuje organizacja kursów zawodowych „Rohö“. Są to kursy modniarskie, krawieckie, bieliźniarskie, hafciarskie, fryzjerskie, kosmetyczne i inne, z których korzystać można w sposób dwójaki. To znaczy, że ktoś, pragnący kształcić się zawodowo, może skończyć cały kurs i otrzymać patent. Jednocześnie jednak wykładowcy i wykładowczynie poszczególnych kursów chętnie udzielają wskazówek pojedynczym osobom, członkiniom „Rohö“, które z ich pomocy skorzystać pragną jednorazowo.

Np. pani chce nabyć suknię lub kapelusz. Kupowanie tych rzeczy w sklepie jest dla niej zbyt kosztowne. Nabywa więc materiał na suknię, filc lub słomkę na kapelusz i udaje się do „Rohö“, aby tam za minimalną opłatą korzystać z pomocy fachowej i wskazówek specjalisty, pod którego okiem sama wykonywa tę pracę. W ten sposób tanio i praktycznie wiedenci ubierają siebie i dzieci.

Jest rzeczą znaną i charakterystyczną, że

„Rohö“, posiadając cały szereg kursów w różnych dzielnicach miasta, nie ma ani jednego kursu gotowania, ponieważ prowadzenie go nie opłacałoby się zupełnie. Tłumaczy się to tem, że w Wiedniu jest zwyczaj, iż młode panny odbywają praktykę w wielkich restauracjach przy kucharzu. Niezmiernie częste są też wystawy gospodarskie, gdzie na miejscu demonstrowane bywają różne przyrządy techniczne, oraz sposoby przygotowywania danych potraw.

„Rohö“ także organizuje często wystawy; gdy jednak się zdarzy, iż w którejś nie bierze udziału bezpośrednio, jednak nigdy nie odmawia swego poparcia.

Pragnąc udostępnić swe usługi sferom najgorzej usytuowanym, „Rohö“, oprócz kursów, posiada jeszcze wielką pralnię parową „Habsburg“, gdzie po niebywale niskich cenach pierze się członkiniom bieliznę. Najuboższe członkinie mają możliwość prania sobie bielizny własnoręcznie, przy jednoczesnym korzystaniu ze wszelkich udogodnień technicznych, znajdujących się w pralni.

Wielka inicjatywa i żywotność cechują wogóle prace „Rohö“. Dbą ona bowiem i o życie towarzyskie swych członkiń, łącząc z tem niezmiernie politycznie troskę o równowagę budżetową organizacji. W tym celu urządzone są raz na miesiąc wesole podwieczorki, t. zw. „Lustige Frauennachmittage“, które zyskały sobie wielką popularność. Odwiedzają je z przyjemnością zarówno mężczyźni, jak i kobiety. W eleganckim lokalu urządzone jest podwieczorek z atrakcjami z wariété oraz częścią koncertową.

Jednocześnie liczne firmy kupieckie robią w tym lokalu wystawę swych najnowszych towarów. Na wystawie można nabywać wszystko po specjalnie na ten dzień niższych cenach; pozatem otrzymuje się moc bezpłatnych próbek, próbuje różnych specjałów, no i spotyka świat znajomy.

Kupcy wiedeńscy oceniają znakomicie doniosłość znaczenia kobiety, jako konsumentki, i liczą się niezmiernie zarówno z jej opinią, jak i sferą zainteresowań. Jeśli więc my, kobiety-polki, pragniemy wywrzeć wpływ dodatni na rozwój przemysłu krajowego, importu i eksportu — a co za tem idzie, na podniesienie potęgi ekonomicznej państwa — to musimy stworzyć zwartą, jednolitą organizację kobiet-gospodyń, świadomych swych celów oraz dróg, wiodących do ich realizacji.

Marja Ankiewiczowa.

REORGANIZUJMY NASZE OGNISKA DOMOWE

DOM POD MIASTEM

II.

A więc — własny dom! Co za radość, co za uczucie dumy, a zarazem bezpieczeństwa! To tak, jakbyśmy sami rozrośli się, rozszerzyli, objęli sobą ten właśnie kawałek ziemi. Czujemy za cały dom: zimno nam, gdy się okaże zaćiek, nie uspokoiimy się, dopóki nie podlegnie reparacji; boli nas każda zdarta lub osunięta dachówka, a uszkodzona rynna jest chorobą osobistą, którą należy leczyć bezzwłocznie. I słusznie, bo dom cierpi, psując się i tracąc swą wartość. Zdrowy dom — jak zdrowy człowiek: ma swoją cenę i liczy się dobrze na rynku wartości.

Dom nasz nie powinien być za duży. Jeśli mieści się w nim swobodnie rodzina właściciela i pokój

gościnny — jest wystarczający. Bo dom nasz wtedy odpowiada swemu celowi, gdy zamieszkują go wyłącznie właściciele. Wtedy jest kochany, miły, daje swobodę i radość. Mylą się ci, którzy, budując, liczą na jednego lub dwóch lokatorów, wychodząc z zasady, że koszty utrzymania domu, podatków i remontu pokryje lokator. Pokryje, to prawda (choć można dostać i niewypłacalnego lokatora), ale zniknie bezpowrotnie cała radość wylądnego panowania u siebie, to niczem niezastąpione poczucie radosnego odosobnienia, tego „u siebie”, stanowiącego właśnie cel posiadania własnego domu. Obcy, obojętny człowiek panoszy się ze swymi potrzebami, wymaganiami; już przestaliśmy być u siebie, już musimy wszystko znieść i tolerować. Powtarzają się mniej więcej stosunki miasta, z przykrem nieraz sąsiedztwem, niesnaski o byle drobiazg. Nie radzę nikomu budować, obliczając na lokatora. Swobody radosnego „u siebie” nie opłacić! Raczej oszczędzić na wszystkim, niż dopuścić obcych ludzi do współżycia.

Dom nasz, wystawiony na południe, ma pośrodku hall; tam się gawędzi, przyjmuje gości, wypoczywa, czyta gazety, słucha radja. Pokoje rozmieszczamy na południe, wschód i zachód; kuchnia, z osobnym wejściem, będzie na stronie północnej, od podwórza. Śpiżarnia obok, też od strony północnej.

Pokoje nie przeładujemy niepotrzebnymi meblami; damy tylko niezbędne, celowo rozmieszczone: pokryjemy je pięknym, lnianym, krajowym materiałem (wyrobu ludowego, lub wytwórni „Ład”); barwne maty, czy kilimy polskie położymy na podłodze, lub powiesimy na ścianach; na kredensie postawimy ceramikę polską ludową. Będziemy więc otoczeni pięknem własnej sztuki, jej bogatą, radosną urodą. Mając własny dom, zerwalismy z systemem dorywczego meblowania przygodnymi gratami; nasz dom pod własnym dachem będzie wykładnikiem nie tylko naszego gustu, ale naszej przynależności etnicznej, musi przemówić tym samym językiem, co ziemia, pejzaż i ludzie — po polsku. Mickiewicz powiada: „Żadne żaby nie grają tak pięknie, jak polskie...”.

Wytwórczość nasza na każdym polu zaspokoić może najwybredniejsze gusty, więc w domu naszym uwzględnimy tylko wyroby własne — od sosnowych mebli poczynając, poprzez lniane obrusy i chodniki, aż do drzeworytów Skoczylasa i Stryjeńskiej.

Gdy urządzimy już wnętrze domu, nie zapomnimy o bardzo ważnej w naszym gospodarstwie sprawie: o piwnicy i strychu. Piwnice, których w niedużym pięcio czy sześciopokojowym domu będziemy mieli — powiedzmy — trzy, podzielimy w następujący sposób. Tę od podwórza przeznaczamy na węgiel, który jeszcze w lecie, gdy jest najtańszy, zakupimy hurtownie na cały rok. Wybieramy piwnicę od podwórza, gdyż będziemy sypać węgiel okienkiem, zamiast tracić czas na znoszenie po schodach. Drugą piwnicę, od południa, przeznaczymy na warzywa i zapasy śpiżniane. Wybielimy ją, wysypimy piaskiem, na którym rozłożymy warzywa zimowe; w kącie postawimy beczkę z kapustą, na półkach zaś z drzewa sosnowego, umieszczonych na ścianach, poustawiamy słoje z kiszonkami, śledziami, obwiesimy wiankami grzybów, cebuli i t. p. Można również, jeśli piwnica jest zdecydowanie sucha, poustawiać słoiki konfitur, miodu; zwykle jednak konfitury przechowują się na strychu, lub prosto w kredensie.

Kapustę świeżą wieszamy głowami na dół, przywiązując sznurkami za głąb do drewnianych szczebli,

przybitych do poprzeczek na dwóch sąsiednich ścianach. Jest to dobry sposób przechowania; należy jednak tak samo przeglądać głowy kapusty, jak każdą świeżą jarzynę, brać do użytku nadpsute, obcinać liście, zaczynające się psuć; to samo czynimy z kartoflami, przeglądając je w zimowym sezonie, jak również z marchwią, pietruszką, kiszoną kapustą w beczce, której brzegi obmywamy kilkakrotnie gorącą wodą.

Trzecią piwnicę przeznaczamy na jabłka i wino własnego wyrobu. Kto ma ogródek, choćby zupełnie mały, powinien wyrabiać własne wina owocowe. Surowiec ma na miejscu, kupuje więc tylko cukier. Wino owocowe po kilku latach jest znakomite, zastępuje w zupełności zagraniczne, a przytem mamy radość, żeśmy je sami wyprodukowali, i pewność, że nie posiada żadnych szkodliwych dla zdrowia domieszek.

W tej piwnicy ustawiamy pod ścianami półki na jabłka; przebrawszy owoc dokładnie jesienią, wytarłszy uważnie suchą szmatką, kładziemy jabłka jedno obok drugiego tak, by się nie dotykały.

Pośrodku piwnicy umieszczamy szklane gąsiory, lub beczki z winem. Mówię: beczki — bo dobrze jest, aby wino do zupełnego oczyszczenia było w beczce, co trwa mniej więcej pół roku; następnie można je przelać do innej beczki (oczywiście, nie tej, w której fermentowało), lub do butelek. Piwnicę taką należy co roku bielić i siarkować.

Jeśli posiadamy jeszcze jedną piwnicę, którą dałoby się ogrzać wstawionym piecykiem, należy przeznaczyć ją na pieczarkarnię. Warunkiem koniecznym jest właśnie ogrzewalność piwnicy, w której musi być minimum dziesięć stopni ciepła wilgotnego, należy więc albo rozpylać wodę, albo stawiać naczynia z wodą. To jest tajemnica udania się pieczarek, których podlewać nie wolno. Zwolenniczki tej hodowli niechaj się zwrócą o radę do specjalistów, zaznaczam jednak, że hodowla taka nie jest uciążliwa, a zaopatruje dom w świeże, wyborne grzyby i przynosi jeszcze zysk, bo cena na pieczarki w zimie jest bardzo dobra. (Należy tylko zaznaczyć, że pieczarkarnia nie może być w bliskości wina i owoców). Po sezonie pieczarkowym skrzynki opróżnia się z nawozu, wyrzucając go w kąt ogrodu, w cień, gdzie często jeszcze latem wydaje owoc, lub przerabia się go do inspektów. Okno w piwnicy otwieramy, by wietrzyła się jaknajdłużej, a przed ponownym użyciem dezynfekujemy. Tyle — pobieżnych wiadomości o piwnicach we własnym domu.

Na strychu po jednej stronie domu, od której klucze są w posiadaniu pani, urządzamy skład kufrów, zbyt licznych mebli, skrzyń; stronę przeciwną przeznaczamy na suszarnię bielizny; jeśli można, układamy na tej części drewnianą podłogę, którą przed każdym rozwieszeniem bielizny wycieramy mokrą ścierką, sznury wygotowujemy choćby dwa razy do roku; od czasu do czasu strych przewietrzamy, uważając jednak, żeby okienka za każdym razem były szczelnie zamknięte, bo deszcz w lecie, a śnieg w zimie powodują zacieki sufitów w domu. Strzec się należy papierów na strychu, by nie zaproszyć ognia i nie zaprowadzić myszy, lubiących gnieździć się w papierze i gryźć go. Z zasady nie chodzić na strych wieczorem, dla lepszego bezpieczeństwa i uniknięcia nieszczęśliwego wypadku; elektryfikując dom, zrobić punkt świetlny na części strychu, przeznaczonej do suszenia bielizny.

Idealne jest suszenie na słońcu — naturalnie, tylko w lecie. Rozwiesić sznury na podwórzu, każdą sztukę przypiąć drewnianymi widelkami. Bielizna wy-

schnie w dwie godziny, jest pachnąca, biała i niezwykle miła w użyciu. Ze względu na szybkość pracy i higienę, jest to bardzo godne polecenia.

Podwórze nasze przylega do sadu-warzywnika, mieszczącego się na tyłach domu. Ten sad — to nasza radość i prawdziwa duma. Kilka rzędów drzewek owocowych — więc czereśnie, gruszki letnie, jabłka letnie, jesienne i może kilka zimowych i choćby dwie śliwy — a mamy po kilku latach owoc jeśli nie na cały rok, to na kilka miesięcy. Oczywiście, między drzewami ziemię uprawiamy: jest to z korzyścią dla drzew, zasilanych tym sposobem, my zaś zyskujemy miejsce pod warzywa przez tych kilka lat, póki drzewa się nie rozrosną i całkiem nie ocieniają zajmowanego terenu.

Ogródek nasz — powiedzmy, półmorgowy — dzielimy tak, by mieć na wiosnę młode kartofle, groszek, szpinak, rzodkiewkę, choć jeden rząd pomidorów najwcześniejszych i późniejszych. Na stałe konieczne jest posiadać we własnym ogrodzie choćby kilkurzędową truskawczarnię, która przy starannej uprawie i corocznym przedzimowym nawożeniu da nam wyborowy owoc najmniej przez cztery lata, oraz szparagarnię, na której owocowanie, jak wiadomo, oczekujemy trzy lata, poczem mamy przez szereg lat (10 do 12) znakomitą, wykwiwną jarzynę. Nadmiar szparagów sprzedamy, lub porobimy zapasy na zimę.

Truskawki są zawsze poszukiwanym towarem na rynku, a jeśli chcemy je użyć wyłącznie dla siebie, mamy bardzo rozliczne zastosowanie: konfitury, soki, galarety, marmelada i, niezwykle wykwiwne w smaku, wino deserowe. Na to ostatnie używamy truskawek najdrobniejszych (t. zw. śmiecie). Wyborny ten owoc jest więc prawdziwym przyjaciółcą naszego domu.

Kilka krzaków porzeczkowych będzie uzupełnieniem naszego niewielkiego ogródka, który może w żyć nas w lecie doskonale. Porzeczki białe, czerwone i czarne. Białe — smaczne do jedzenia i na galarety; czerwone — konieczne do wyrobu wina; czarne, amatorskie, dają charakterystyczne w smaku, dobre konfitury.

Kto może i lubi zajmować się ogrodem, założy sobie na wiosnę, w zacisznym kącie, na południowej wystawie, choć jedną skrzynię inspektową. Wtedy będzie miał wczesną sałatę, sam wyprodukuje sobie rozsady pomidorów, kapusty, kalarepki i kwiatów, którymi ozdobi front domu.

Możemy więc, mając dom z ogrodem, wprowadzić zasadę samowystarczalności: uprawiać własnoręcznie swój ogródek; wtedy właśnie da nam najwięcej radości i będzie prowadzony systemem oszczędnościowym, gdyż tylko do najcięższych robót (jak zwożenie nawozu, gliny) będziemy potrzebowali pomocy; wynajmiemy też kogo do przekopania większej przestrzeni, lub, co taniej wypadnie, przeorzymy ziemię.

mar-mor



JAK ZWALCZAĆ PASOŻYTY DROBIU

W wielu hodowlach drobiu istną plagą są pasożyty ptactwa. Robactwo, jeśli raz zagnieżdżyło się w kurniku i opanowało drób, trudne jest do wytępienia, a wpływa bardzo ujemnie na zdrowie i nieśność ptaków. Istnieje b. wiele gatunków pasożytów drobiu; zasadniczo rozróżniamy: piórojady, kleszcze ptasie i świerzbowce. Każdy z tych rodzajów tępiemy w inny sposób.

W widnych i czysto utrzymanych kurnikach pasożyty się nie pojawiają, jednak zawsze należy drób od czasu do czasu dokładnie przeglądać. Pasożyty są dostrzegalne gołym okiem przy szybkim rozchyleniu pierza kury; zresztą drób, trapiiony przez pasożyty, „drapie się” stale.

Zapobiegamy pasożytom przez dezynfekcję kurnika, oraz stałą „suchą kąpiel” dla kur. Ustawiamy w kurniku, w miejscu oświetlonym, płaską skrzynię z piaskiem i popiołem drzewnym, z dodatkiem sproszkowanej siarki. Kury trzepią się w tem chętnie, czyszcząc sobie pierze i skórę.

Sposoby tępienia pasożytów są różne. Dermatorytes mutans (świerzbowca ptasi), ogromnie rozpowszechniony w naszych hodowlach, żyje na nogach kur pod łuską, powodując jej odstawanie i zgrubienie nóg, tak, że łatwo można dostrzec kury, trapione tym pasożytem. Jest to tak często spotykany wapniak, łatwy do wyleczenia w początkach, ale przedawniony, u starych kur, z trudem daje się usunąć i powoduje wkońcu zupełne okulawienie chorej sztuki.

Jeśli chcemy się pozbyć wapniaka, należy przede wszystkim co parę dni smarować grzedy karbolinem. Można zamiast karbolinu brać naftę do smarowania, ale należy to wykonywać tak, aby kury nie wracały na jeszcze nieobeschnięte grzedy, gdyż nafta zwykle powoduje u kur egzemę. Dokładna dezynfekcja grzęd jest konieczna, gdyż pasożyt ten przebywa na grzędach, przenosząc się z chorych kur na zdrowe. Kurom z choremi nogami należy co 4, 5 dni wcierać dokładnie (najlepiej szczoteczką) mieszaninę szarego mydła i oleju lnianego z dodatkiem kreoliny ($\frac{2}{3}$ szklanki szarego mydła, $\frac{1}{3}$ oleju lnianego, 1 łyżka kreoliny). Po jakimś czasie nogi kur zaczną się łuszczyć, należy wtedy tę zgrubiałą łuskę delikatnie usuwać, nie kalecząc nogi kury.

Jeśli mamy do czynienia ze sporadycznym wypadkiem wapniaka, np. u kur, świeżo sprowadzonych, wystarczy tylko leczyć chore sztuki, ale jeżeli większość kur ma chore nogi, należy po raz pierwszy natrzeć nogi wszystkim sztukom zdrowym i chorym, a później powtarzać ten zabieg tylko kurom z choremi nogami. Zwykle po 4, 5-cio krotnym nasmarowaniu, t. j. mniej więcej po 3 tygodniach, wapniak zostaje usunięty.

Na kurach, a właściwie na ich upierzeniu, pasożytują często piórogryzy (piórojady). Żywią się naskórkiem i pierzem ptaka, powodując zniszczenie, albo niedorozwój upierzenia. Piórojady prześladowują specjalnie sztuki słabsze lub chore; naogół mało się przenoszą z jednych sztuk na drugie, a przez to są łatwe do wytępienia. Zwykle wystarczy parę razy zrzędu (co 6, 7 dni) natrzeć dokładnie całą kurę sproszkowaną siarką. W bardzo uporczywych wypadkach

nacieramy szarą maścią miejsca, gdzie się najwięcej gnieźdzą pasożyty (koło odbytu, nasady ogona i pod skrzydłami).

Trzeci rodzaj pasożytów, bardzo rozpowszechniony, są to drobniotki kleszczyki, które za dnia kryją się w szczelinach ścian i grzęd, a w nocy opadają kury i wysysają z nich krew.

Tępiamy te pasożyty zapomocą dezynfekcji i utrzymywania w czystości ścian, podłogi, a przede wszystkim grzęd i gniazd. W kurnikach, które bieli się wapnem lub naciera karbolineum, pasożytów tych napewno nie spotkamy.

Doskonały jest sposób, zalecany przez wielu hodowców: dodawanie na wiadro wapna, przygotowanego do bielenia, $\frac{1}{2}$ kg. szarego mydła i $\frac{1}{2}$ kg. kleju stolarskiego. Mieszanina ta doskonale przylega do drzewa i zalepia szczeliny.

Tępienie pasożytów powinno się przeprowadzać jesienią, lub na początku zimy, licząc się z tem, że kilka tygodni minie, zanim tę plagę radykalnie usuniemy, a wiosną, kury, trapiące przez pasożyty, są złemi nasiadkami i przenoszą robactwo na kurczęta. Należy więc bezwzględnie przed początkiem sezonu lęgów doprowadzić kurnik i kury do zupełnej czystości.

Z. P.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

ROŻNE MASY DO SMAROWANIA KANAPEK LUB PRZEKŁADANIA SANDWICH'Y.

1. Śledzia-ulika obrać ze skórki i ości, dodać dziesięć deka słoninki od gotowanej szynki, usiekać razem, lub przepuścić przez maszynkę, dodać dużą łyżkę najgęstszej śmietany. Ucierać razem na miseczce, odrobinę popieprzyć. Masa powinna stać się zupełnie jednolita i nieco narosnąć.

2. Kuropatwę rozstrzelaną, nie nadającą się na pieczone, udusić z dziesięcioma deka wędzonej słoninki, sos przyprawić łyżeczką maki i podlać szklanką rosółu lub wody, aby go było dużo. Ostudzić. Zdjąć mięso z kości, starannie przeglądając, aby w niem nie było śrutu. Przepuścić przez maszynkę wraz ze słoninką. Włożyć na miseczkę, dodać cały sos, sześć deka śmietankowego masła. Ucierać drewnianą łyżką, aż masa zbieleje, stanie się jednolita i narośnie.

3. Zdjąć mięso z jednego dużego, lub dwóch mniejszych piklingów. Ucierać drewnianą łyżką na miseczce, dodając dwa żółtka, ugotowane na twardo, łyżeczkę suchej musztardy i trzy łyżki najlepszej oliwy. Oliwę należy dodawać po kilka kropel.

Gdy masa się stanie zupełnie gładka, popróbować, czy dosyć słona, i odrobinę popieprzyć. Można też na zakończenie dodać pięć deka śmietankowego masła i jeszcze razem ucierać minut kilka.

4. Cwierć kilo wątróbek z drobiu (kur, kaczek, indyków lub gęsi) wymoczyć godzin kilka w wodzie. Uduśić z trzema sporem cebulami i dziesięcioma deka młodej słoninki, podlewać wodą lub rosółem. Przepuścić całą masę dwa razy przez maszynkę. Dopiero teraz osolić i lekko popieprzyć. Dodać dziesięć deka masła śmietankowego i utrzeć na miseczce na gładką masę.

5. Mózdzek cielęcy lub wołowy wymoczyć przez godzin parę, oczyścić z krwawej błonki i ugotować w mocno osolonej wodzie z dodaniem łyżki octu. Odcedzić i ostudzić. Pięć deka masła utrzeć na miseczce na śmietanę, dodać mózdzek, ucierać, aż się złączy w jedną masę, osolić do smaku, popieprzyć białym pieprzem. Dodać pięć deka tartego parmezanu lub zielonego, ziołowego sera. Gdyby masa była za gęsta, dodać tyle dobrej śmietany, aby się dała smarować.

PASZTECIKI NAPRĘDCE.

Z długiej bułeczki lub pszennego chleba ukrajać dwadzieścia jednakowych, sporych grzanek, grubych na centymetr. Mogą być czworokątne, okrągłe, owalne lub podługne, powinny tylko być wszystkie równe. Skropić je mlekiem, aby nieco napęczniały. Usiekać drobno dwadzieścia deka przerastającej szynki (mogą być obrzynki z szynki, byle tłuste i bez skórki), posmarować nią połowę grzanek, przykryć drugą połową, ścisnąć mocno, aby się doskonale złączyły. Rozbić jajko z kilku łyżkami mleka, maczać w tem grzanki, utarzać w tartej bułeczce i smażyć z obu stron w gorącym smalcu. Podawać do kwaśnych zup: szczeniowej, pomidorowej, barszczu, lub czystego kapuśniaku.

ZRAZY ZE SŁONINKĄ.

Kilo zrazowej, krzyżowej, lub skrzydła podzielić na sześć równych, cienkich platów, zbić mocno i dać tak poleżeć godzinę, aby się mięso przy duszeniu zanadto nie kurczyło. Trzydzieści deka wędzonej słoninki pokrajać na sześć cienkich płatków, nieco mniejszych, niż płatki mięsne. Na każdy kawałek mięsa, lekko posolonego, położyć kawałek słoniny, posypać drobno pokrajanymi pieczarkami (dziesięć deka pieczarek na całą potrawę). Zwinąć tak, aby słonina nigdzie nie wyglądała z mięsa. Obwiązać nitką. Zrumienić na maśle lub smalcu. Przełożyć do rondla, dodać resztę pieczarek, tłuszcz od zrazów i szklankę rosółu lub wody z kawałeczkiem buljonu, włożyć utartą na tarce cebulę i marchewkę. Dusić wolno, podlewając od czasu do czasu trochę wody. Gdy zrazy zmiękną, wyjąć je na półmisek. Sos podprawić łyżeczką maki, zagotować raz i wylać na zrazy. Podawać te zrazy z grubą kaszą gryczaną, wypieczoną w piecu, lub z purée kartoflanem.

Pani Elżbieta.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnoślaska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Wielki Człowiek.

W Polsce najgorzej być wielkim człowiekiem. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak jest. Przecież u nas każdy najprostszy „cywil” nosi w zanadrzu bohatera, przecież entuzjasmujemy się dla wielkości obcych i naszych własnych, byle... na dystans historii. („Nasz to obyczaj cierniem w życia ciągu wieńczyć ich skronie, laur kłaść na posagu”). Więc nieźle się dzieje naszym Wielkim po śmierci, źle, za życia. Dziś, na przykład, ktoby się targnął na pamięć Kościuszki? Ale swojego czasu nie było przecież inwektyw, którejby nie miotano na tego „jakobina, sankiulota, bezbożnika, wywrotowca, masona”, a powiedzianoby i „eksproprjator”, gdyby podówczas słowo to było w użyciu.

I doprawdy historia nie wysila się na nowości, powtarza się! Bo czy nie to samo, czy nie tak samo dziś z Marszałkiem, Komendantem, Dziadkiem? Tyle tylko, że to jeszcze dziwniejsze, bo przecież jemu *udało się*, On dokonał zamierzenia: Polskę wskrzesił. Dla chcącego nie trudnego, i na to można było powiedzieć, że to nie On, to się jakoś... samo zrobiło, to stał się cud. Właśnie cud. Próbowali politycy gadać, że to oni wygadali, wypolitykowali Polskę, ale jakoś... za świeżą krwią pachniało powietrze. Więc lepiej cud. „Pan Piłsudski” bródził, przeszkadzał, ale trudno, ktoś leżał krzyżem, ktoś poszedł na tamten świat przypomnieć Panu Bogu, że... Wiedeń, że... Lignica, i Matce Boskiej, że jest przecież koronowaną Królową Polską, więc nie wypada, żeby bolszewik deptał Warszawę... i Moce niebieskie przypominały sobie. Stał się cud. „Cud nad Wisłą”. Kto nie wierzy w cuda, jest mason, niedowiarek, piłsudczyk!

Zresztą, odróżniam niewiarę Tomaszową, tę chęć sprawdzenia, zbadania, to wątplenie początkowe, wiodące przez szlachetny ból dochodzeń ku tem jaśniejszej Prawdzie, od faryzeuszowskiego sprzeciwiania się uznanej prawdzie, faktom.

Sama, przyznając dziś ze skrucą, wcale nie tak odrazu, impulsywnie wyczułam w naszym Wielkim Człowieku dnia dzisiejszego, wielkość. Może dlatego, że nie było mi dane bezpośrednio i z bliska spojrzeć Mu w oczy. Bo byli tacy, których takie spojrzenie „nawróciło”. Ale mnie się zawsze trafiało tylko zdaleka po przez coś, czy przez kogoś o Nim słyszeć.

Pierwszy raz, bardzo dawno, kiedy, jako współpracowniczkę w szkółce (takiej zakonspirowanej, jak to wówczas w obywatelskim domu) na wsi zapadłej w Wileńszczyźnie poznałam siostrę Komendanta, panią Ludwikę. Szeptano, że „biedaka” ma brata socjalistę. Coś nawarcholił, teraz mu siostra śle na Syberję zapomogi. To był „ton” jaśnie wielmożnych z sąsiedztwa, zwłaszcza tych, o tem samem nazwisku, za-

strzegających się, że to „z innych Piłsudskich”. U nas w domu były tradycje wolno-myślnościowe; i młodzież i starsi z gorącą sympatją i szacunkiem przyjęli p. Piłsudską, właśnie dlatego, że sama czynny udział brała w konspiracyjnych pracach społecznych.

Co do mnie, oceniłam ją niebawem, jako pierwszorzędną siłę nauczycielską, i jako człowieka wysokiej marki. Żyliśmy w ideowej, rzecz można, przyjaźni, bo w tem prawie nie było czasu na *ja* i *ty*, na personalja. Raz tylko opowiedziała mi coś o sobie i swoich. O ojcu, który miał genialne pomysły: sąsiedzi pojedynczo wprowadzali je w czyn i wzbogacali się; on zaś, chcąc realizować wszystkie naraz, doszedł do ruiny; o bracie, który, pierwszy raz na Syberję wywieziony, gdy była małym dzieckiem, powrócił tak zmieniony, że go nikt w domu nie poznał, prócz niej jednej, i... czy wyczuła mój sceptycyzm, zrodzony może z tych poszeptów o warcholstwie? nie wiem. Ja zaś wtedy myślałam: kobiety są skłonne do ubóstwień: 50 proc. siostr, to wszystko siostry wielkich ludzi!

A potem, potem, gdy już było wiadomo, że Piłsudski organizuje kadry przyszłej polskiej armji... Boże, bądź miłościw!... moje wewnętrzne ustosunkowanie się do tego było nawskroś sceptyczne. Prostu żyliśmy, pokolenie za pokoleniem, w takim napięciu pożądania zmartwychwstania ojczyzny, i marzeń o niem, że gdy padło pierwsze słowo o zmaterializowaniu tych przebóstwionych snów, nie stało wiary. To musi przyjść, ale jest, jak sny, w nieskończonej oddali wieków, nie teraz, nie tak realnie... my jeszcze nie jesteśmy godni.

Potem jeszcze, jako pedagoga z krwi i kości, przerażał mnie napływ dzieciaków, nedorostków, do tej armji, która cudownie pięknym gestem „na stos” rzuciła „swój życia los”.

Ach nie, nie skąpstwo na tę młodą krew synów! U nas kobiety rodziły dla ojczyzny i my nasze duchowe dzieci gotowaliśmy dla niej na ofiarę. Tylko... tylko ci, co powrócą!... Przecież to będzie legion kalekich dusz, legion inwalidów moralnych; bo wojna, nawet ideowa, bohaterska, to najfatalniejszy zakład wychowawczy dla wyrostków. Czy organizm młodego państwa, jeżeli po letargu swym wiekowym zbudzi się słaba, wyczerpana Polska, zniesie ten balast bohaterów, ukochanych, czcigodnych, przeznaczonych na pierwsze miejsca w odrodzonej ojczyźnie, a niezdolnych do zbożnej, budowlanej pracy, tych inwalidów psychicznych?

Oczywiście... nie czas żałować róż, gdy płoną lasy...

Szły czasy... Nie szły, tylko leciały z zawrotną szybkością. Polska stała się i ostała się przed nawałą bolszewicką.

Dziś pozostawmy zlej woli i wstydliwemu zakłamaniu wątpliwości, inwektywy, sprzeciwianie się oczywistości, poszczekiwanie małych pieszków za olbrzymem. Włóżmy już dziś laur na skronie naszego Wielkiego Współczesnego i niech nam będzie gwiazdą przewodnią!

Marja Benisławska — *Bychawa*

Idzie o przyszłość Polski.

Po przeczytaniu w „Bluszczu” artykułu: „Kobieta w akcji wyborczej”, pozwałam sobie przesłać moje zapatrywanie w tej tak ważnej sprawie.

Jeśli były kiedykolwiek wybory, w których kobieta, uprawniona do głosu, nie brała udziału, to można było jeszcze wybaczyć; zaniedbanie takie przy dzisiejszych wyborach równa się wprost zdradzie.

Mimo, że słowo to może wydać się zbyt silne w stosunku do tej małej kartki papieru, zaopatrzonej numerem, która przez jedną sekundę znajduje się w naszej ręce, by zapaść niepowrotnie i nieodwołalnie do urny wyborczej, to ze względu na następstwa, brzemienne w skutkach, podtrzymuję wyrażenie to w całej rozciągłości.

Kobieta w stosunku do mężczyzny bierze w życiu politycznym i społecznym, gospodarczym czy finansowym, znacznie mniejszy udział; jednak przy wyborach jest powołana i ma obowiązek rzucenia swego głosu do urny i winna zastanowić się z całą powagą i zrozumieniem nad doniosłością tej chwili.

Jeśli weźmiemy pod uwagę dzisiejsze nasze położenie gospodarcze, nasze położenie geograficzne, nasze niesnaski i partyjniactwo wewnętrzne, klęskę bezrobocia, niewiarę i zwątpienie setek ludzi w możliwość lepszego jutra, to musimy przyjść do przekonania, że tu jedynie przez kobiety, tak pojedyncze, jak i skupione w organizacjach, można przyczynić się do osiągnięcia jaknajkorzystniejszych rezultatów przy wyborach.

A chwila jest doniosła i stanowić będzie niezaprzeczenie, nie o naszym wyrobieniu politycznym, bo tego nikt od nas nie wymaga, ale o zrozumieniu dobra kraju, dobra wszystkich stanów, powagi chwili; będzie też najlepszą odpowiedzią na zakusy naszych wrogów.

Niech się dowie pan Hitler, który chciwą łapę wyciąga po polskie Pomorze, by nam odciąć dostęp do morza, że kobieta-polka w najszlachetniejszym zrozumieniu dobra Ojczyzny przeważała szalę zwycięstwa przy wyborach; że, wierne swej tradycji kobiety-bohaterki z czasów walk o wolność, czy to pod sztandarem Napoleona, czy w Powstaniu Listopadowym, czy w ostatnich bohaterskich wysiłkach w czasie wojny światowej, dziś, kiedy ma tę ojczyznę, wie, czego jej potrzeba i co ją zbawi.

Niech przekona się hydra bolszewicka, że szczerze, a z krzywdą setek tysięcy ludzi sypane pieniądze na agitację i wzniecenie niesnasek, nie trafiają u nas na grunt podatny, bo my stoimy i stać będziemy zawsze na straży porządku, przy silnym rządzie.

Nie będziemy ślepe i głuche na głos rozsądku; niech historia nie zarzuci nam tego, o czym dziś czytamy ze zgrozą w sercach, o domach z czasów przedrozbiorowych, które, by głos sumienia zagłuszyć, uśmierzyć ból i strach przed tem, co przyjdzie miało, szukały zapomnienia w tańcach i zabawie.

My pokażemy, że dzisiejsze pokolenie ma czas na wszystko: na pracę zawodową, na sport, na tańce, literaturę i na zaznajomienie się ze stosunkami wewnętrznymi kraju; ma zdrowy sąd i jasny sposób patrzenia w przyszłość.

My musimy pokazać, że wysiłki naszych dzia-

dów w powstaniu, naszych ojców, synów, mężów i braci w wojnie światowej nie pójdą na marne; że my, kobiety, w dalszym ciągu podtrzymujemy ich idee wolnej i silnej Polski.

Nam nie wolno zaniedbywać tego świętego obowiązku: byłoby to zdradą wobec tych, którzy dla tej idei polegli, jak i względem tych, którzy dziś ją podtrzymują.

Nam, kobietom, nie wolno ich opuścić; my dłużej i boleśniej przechowujemy w sercach żal za tymi, co poszli, by już nie wrócić; bardziej jasno i przewidująco, bo sercem kochającym, patrzymy w przyszłość tych, którzy, jako następne pokolenie, zajmą po nas miejsce.

Któżaż matka nie chce widzieć dziecka swego w lepszych warunkach życiowych, niż jest sama?

Ileż serc bije trwożnie o przyszłość dzieci?

Boimy się przewrotów, wydarcia wiary, zburzenia porządku społecznego i tych wszystkich klęsk moralnych, fizycznych i materialnych, tego bezbołowania i bezprawia, jakie niesie za sobą brak dyscypliny, posłuchu, rygoru i karności w życiu społecznym i pytamy siebie: co robić, jak zaradzić?

A jednak w naszych rękach jest los, urna wyborcza czeka nas, rozstrzygniemy same o losie naszym i tych, co po nas będą.

Przeszłość więc niech będzie dla nas przestrogą i nauką, co czynić należy, a czego się wystrzegać; ale patrzeć powinnyśmy w przyszłość, a przyszłość nasza, to silny Rząd, zjednoczony pod ideowymi hasłami Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, przy którym stanął szereg organizacyj kobiecych o obywatelskim poczuciu.

Janina Eichelbergerowa — *Zagożdżon*

Trzeba wiedzieć.

Jest to znane zjawisko, że większość kobiet nie czytuje dzienników. Warto by się zastanowić nad przyczynami tego objawu.

Prasa codzienna porusza wszystkie zagadnienia życiowe, podaje wiadomości z wszelkich dziedzin. Nie wiele kobiet jednak interesuje się sprawami ogólnymi.

Najbardziej oddalają kobietę od polityki i spraw społecznych o szerszym zakresie jej zajęcia domowe. Ognisko rodzinne, a zwłaszcza dzieci, gospodarstwo, to molochoy, zdolne do pochłonięcia każdej istoty, która wejdzie z niemi w kontakt. To też na zainteresowanie się czemkolwiek, poza ciasnym kręgiem spraw gospodarczo-domowych, brak kobiecie zwykle czasu i sił.

Trzeba się bardzo pilnować, aby mogło być inaczej.

Dziś, gdy wywalczyłyśmy sobie prawa obywatelskie, musimy rozwijać się wszechstronnie. „Bluszcz” oddawna pracuje nad wytworzeniem nowego typu kobiety, krocząc zawsze po linii współczesnych wymagań. Dziś życie żąda od nas czynnego udziału we wszystkich jego dziedzinach. Niestety, dużo jeszcze kobiet nie zna mnóstwa zagadnień ogólnoludzkich, a przedewszystkiem nie zna spraw politycznych.

Rubryka „Z ubiegłego tygodnia” podaje nam coraz inne wydarzenia, które najbardziej poruszyło umysły w ostatnich dniach. W ten sposób „Bluszcz” zaznajamia te czytelniczki, które nie czytują dzienników, ze sprawami, omawianymi tam bardziej szczegółowo. Może niejedna poszuka tych szczegółów, a przy sposobności zainteresuje się czem innym jeszcze? Może nauczy się stale czytać politykę?

Będzie ogromną zasługą Redakcji „Bluszczu”, gdy tego dokaże.

Wywalczyłyśmy sobie zrównanie praw kobiety i mężczyzny. Równość ta będzie jednak tylko papie-

rowa, dopóki ogół kobiet nie stanie pod względem znajomości swych praw na jednym poziomie z ogółem mężczyzn.

Jak jest z tą równością obecnie?

Weźmy przykład z życia. Jest wieś, a w niej 55 proc. kobiet. Będą teraz wybory. Mężczyźni wszyscy będą głosowali, z wyjątkiem jednego staruszka, który uważa, że „dawniej lepiej bywało bez głosowania”. Wszyscy ci mężczyźni, bez względu na ich poziom umysłowy, wiedzą mniej więcej, jaka partja najlepiej bronić będzie ich interesów i wogóle wiedzą zawsze, co się dzieje w świecie, czy będzie wojna i z kim, bo to sprawa najbardziej paląca.

Kobiety, ta nieszczęsna większość, jeśli będzie choć w 10 proc. głosowała, to na tę listę, którą każdy chłop swej babie wskaże! Wprawdzie jest we wsi dziedziczka i nauczycielka, które głosują samodzielnie. Ale, czy która z nich potrafi przedstawić babom potrzebę głosowania na jakąkolwiek listę? Jeżeli sama posiada jakieś zdecydowane przekonania polityczne, nie umie dość wymownie przekonać słuchaczek. Zresztą, wieś jest konserwatywna: czy słyszał kto o babskich wiecach?!

A przecież, aby wprowadzić w ruch jakąkolwiek maszynę, trzeba poznać jej mechanizm. A my mechanizmu państwowego nie znamy prawie wcale. Wobec tego zaś mowy być nie może o *dobrem* wypełnianiu obowiązków obywatelskich!

Jeśli więc „Bluszcz” nauczy kobiety rozumieć sprawy polityczne, nasze i obce, jeśli zapozna nas z zagadnieniami, tak dziś ważnymi, i zachęci do brania w nich żywego udziału, będzie to wielka zasługa dla przyszłości kobiet i przyszłości naszego państwa.

Teofila Fidosowa — Brzuchowice

Niech się wypowiedzą młodzi (w odpowiedzi p. W. B.)

Pożycie większości współczesnych małżeństw jest tak podobne do dożywotniego więzienia, małżeństwa naogół tak są niedobre pod względem charakterów i upodobań, że ludzie, patrzący jasno na tę sprawę, muszą orzec: Żle jest! trzeba w tej dziedzinie wiele zmienić, bo nie na to przecież się żyje, by przez całe życie znosić katorgę; człowiek ma prawo do szczęścia.

Według mego zdania, małżeństwa bezdzietne, jeżeli są źle dobrane, powinny się rozjeść, bo i cóż warte życie w kłamstwie i rozpacz? Lepszy już suchy kawałek chleba, jedzony z poczuciem ulgi, że znowu jest się niezależną, nie skutą z drugim, nienawistnym, czy tylko obojętnym człowiekiem. Gdy jednak są dzieci (które przecież na świat się nie prosiły), to niema innego wyjścia, tylko trzeba zęby zacisnąć i trwać, gdyż dzieci mają niezaprzeczalne prawo do obydwójga rodziców i do domowego ogniska. A nawet kompromis, ustępstwa, czy uśmiech udany, lepszy jest, aniżeli pozbawienie dzieci domu.

Przyszłe pokolenia natomiast, niechże inaczej przygotowują się do małżeństwa; niech lepiej zastanawiają się nad kwestją doboru charakterów, upodobań i zainteresowań; niech się wzajemnie poznają dokładnie, przed ślubem, niech nie idą za ślepym instynktem zmysłowym, czy powodami tylko materialnej natury.

W całej więc rozciągłości popieram wywody p. W. B. Słowa Jej są tak rzeczowe i jasne, projekt tak dobrze ujęty, że mogę tylko wyrazić me szczere uznanie, jako zapewne jedna z wielu tych, które także chwalić będą, a może zrealizują piękną i pożyteczną myśl? Ale choćby tylko same myśli i słowa dotarły do młodzieży, najbardziej zainteresowanej

w sprawie, przez p. W. B. poruszonej, to i tak rezultat będzie duży. Trzeba wołać wielkim głosem: „dobierajcie się mądrzej i rozsądniej, aniżeli współczesne małżeństwa; zastanawiajcie się przed ślubem, czy będziecie sobie mogli zapewnić obopólnie, dożgonne szczęście. Bo dewizą w małżeństwie powinien być mądry wybór”.

Nie mam, niestety, kontaktu z dorastającą młodzieżą, a tak bardzo pragnęłabym wiedzieć, jak większość jej zapatruje się na sprawę małżeńską. Przypuszczam, że pomiędzy czytelniczkami „Bluszczu” są i przedstawicielki młodszej generacji. Czy która z nich, zdając sobie sprawę z przekonań swych rówieśniczek, nie zechciałaby zabrać głosu w „Naszej Mównicy”? Niech dowiedzą się kobiety starsze i nauczane doświadczeniem życiowym, czy wołania ich znajdują odgłos wśród kandydatek do stanu małżeńskiego? Czy może młodzi wprowadzają już nową erę w tej dziedzinie, szczęśliwszą od współczesnej, czy też głos nasz ginie w próżni? Zdaje mi się, że taki kontakt z młodymi, w tej właśnie sprawie, jest konieczny. A więc czekamy.

W. R. — Kraków

Jak sobie radzić. (W odpowiedzi p. Jastrzębskiej)

Ze sprawą czytania i zagadnień literackich jest bardzo źle, zgadzam się w zupełności. Lecz, jak zapobiec złemu i jak pomóc pragnącym dobrej książki?

Książki dobre, to luksus, na który mogą sobie pozwolić tylko wybrańcy losu, to jest ludzie zamożni, lub też wysoko uposażeni; reszta inteligencji, traktowana przez los po macoszemu, musi zadowolić się przeczytaniem tytułów przez okno wystawowe księgarni. Ci biedacy może mają jakąś złotówkę zaoszczędzoną, lecz na dobrą książkę im nie starczy, a taniej, tem samem marnej, nie kupią, bo na taką szkoda tych krwawych groszy.

To samo z dziennikami; sama znam kilka osób, które chętnie prenumerowałyby jakąś gazetę, lecz nie stać ich. Szkoda, że ci nie mogą zabrać głosu w „Mównicy”; przekonalyby się panie, ile i ilu jest pragnących dobrego pisma i dobrej książki.

Parę lat temu mieszkalam przez jakiś czas w Busku, otóż wszyscy tamtejsi inteligenci, z p. starościną i starostą na czele, założyli bibliotekę w ten sposób, że płacili pewną niewielką kwotę miesięcznie, za te pieniądze kupowano książki, nieraz bardzo wartościowe dzieła; co roku odbywało się losowanie kupionych książek i w następnym roku każdy członek zabierał książkę, dla niego wylosowaną. Bardzo dobry i praktyczny sposób zdobycia tanim i łatwym sposobem dobrej książki. Lecz to można przeprowadzić, gdy jest większe zrzeszenie, ale, dajmy na to, na wsi, tak, jak ja? Jestem żoną urzędnika-agronoma; nie mogę w powyższy sposób zdobyć książki, gdyż jest tu za małe grono inteligencji.

W pobliskim miasteczku jest wypożyczalnia, w której niema ani jednej dobrej książki. Przeważnie wypożyczają książki takie, jak: „Błada” lub „Ślepa Hrabina”, „Rinaldo Rinaldini” włoski bandyta i t. p. romansidła, które czytać, sędzę, jest nietylko stratą czasu, lecz i barbarzyństwem.

Z tego wynika, że inteligencja, gorzej uposażona, może tylko marzyć o dobrej książce.

Ze swej strony proponowałabym, żeby założyć Stowarzyszenie Miłośników Książek, z pewnem opodatkowaniem się wedle możliwości; z sum zebranych zakupywać książki i co pewien czas, drogą losowania, przysyłać je członkom tego Stowarzyszenia; ci zaś ze swej strony mogliby stworzyć miejscową bibliotekę, czy też wprost wypożyczać książki zasługującym na to osobom.

Leonarda W.